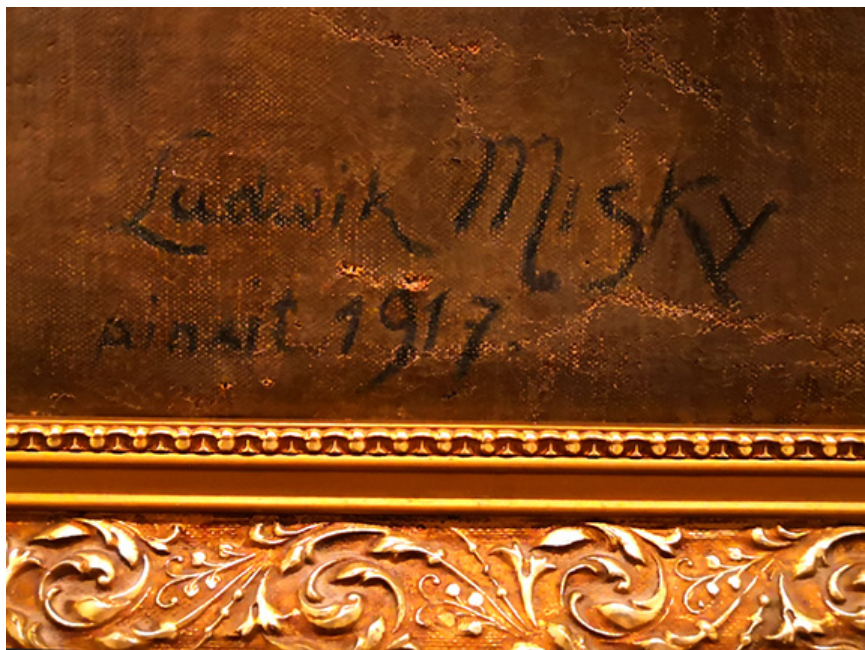


Ludwik Misky – autoportret w kontuszu

Oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)



Ludwik Misky, autoportret (?), olej na płótnie, 150 x 100 cm, 1917 r., wł. prywatna, dr Kasem Bahloul, Poznań



Podpis Ludwika Misky'iego na portrecie

Ludwik Misky właśc. Ludwik de Delney Misky, polski malarz i grafik, urodził się 16 stycznia 1884 r. w Nowym Sączu, zmarł 1 lutego 1938 r. w Krakowie. Pochodził ze spolonizowanej rodziny węgierskiej, osiadłej w Małopolsce. Był synem Ludwika i Wiktorii z Polityńskich. W latach 1902-1910 studiował malarstwo w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Uczył się pod kierunkiem m.in. Leona Wyczółkowskiego, Józefa Mehoffera, Józefa Pankiewicza i Floriana Cynka. Równocześnie studiował na Wydziale Filozofii i Historii Sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studiował też muzealnictwo w Paryżu, Berlinie, Dreźnie, Lipsku i Wiedniu. W 1907 roku wrócił do Krakowa, aby zacząć pracować w szkolnictwie – początkowo jako nauczyciel rysunku, później inspektor i wizytator, a od 1927 jako naczelnik wydziału szkół zawodowych w Kuratorium Krakowskiego Okręgu Szkolnego. Był też autorem artykułów i podręczników z dziedziny nauczania rysunku i organizacji szkolnictwa. Należał do Cechu

Artystów Plastyków „Jednoróg”. Brał też czynny udział w życiu artystycznym, miał wiele wystaw. Malował portrety, pejzaże i martwą naturę. Zajmował się też grafiką, uprawiał wszystkie techniki w metalu oraz drzeworyt. Był autorem wielu exlibrisów i kilimów. Największy zbiór prac artysty znajduje się w Dworku Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.



Dworek - Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym
W 1917 r. Ludwik Misky ożenił się z Olgą Łodzia-Michalską (1893-1964). Łodzia to herb, którym pieczętowała się m.in. rodzina Michalskich. Prawdopodobnie przodek Olgi Michalskiej, Jan Michalski otrzymał nobilitację i herb Łodzia w 1768 r. Jego synowie legitymowali się szlachectwem z Galicji Zachodniej.

Z tego samego roku, co zawarcie małżeństwa Ludwika Misky'ego pochodzi autoportret w kontuszu. Można zatem domniemywać,

że skoro malarz ożenił się z osobą stanu szlacheckiego, chciał mieć portret, który przedstawiałaby go jako szlachcica. Wówczas osoby stanu szlacheckiego dość często brały ślub w kontuszu. Czyżby portret, który wisi w domu dr Kasema Bahloula, lekarza, pochodzącego z Palestyny i jego żony w Poznaniu, był obrazem artysty, który powstał na pamiątkę zawarcia małżeństwa?



Ludwik Misky, autoportret, ok. 1920 r., fot. domena publiczna
Dr Kasem Bahloul

Dom, który kupiliśmy z żoną 15 lat temu został zbudowany ok. 100 lat wcześniej. Należał do bogatej rodziny kupców poznańskich – Zofii i Edwarda Michaelisów. Niestety nie mamy kontaktu z ich rodziną i nie wiemy jak ten obraz trafił do ich domu.

Jestem Palestyńczykiem z pochodzenia, a Polakiem z wyboru. Kiedyś podczas spotkania z moją rodziną w Gazie, rozmawiałem z moją żoną Polką po polsku. Mój ojciec usłyszał naszą rozmowę i nagle po ok. 40 latach zaskoczył nas pytaniem – czy wy rozmawiacie w języku ludzi z obozu polskiego w Palestynie? Powiedział przy tym kilka słów – chleb, winogrona i papierosy!!! Z otwartymi ustami patrzyliśmy na ojca. Zapytałem – skąd znasz te słowa? Wtedy ojciec opowiedział nam historię obozu polskich rodzin i żołnierzy armii generała Władysława Andersa, którzy trafili do Palestyny, z Rosji przez Iran.

Ojciec był rolnikiem, mieszkał w wiosce Yibna (niedaleko Yaffa), gdzie miał dom i ziemię, w pobliżu obozu. Codziennie sprzedawał swoje produkty – świeże figi, winogrona, pomarańcze, cytryny, banany... rodzinom polskim w tym obozie. Czasami był to handel wymienny np. za papierosy. Mój wujek również pracował w polskim obozie jako cieśla, wykonywał tam drobne prace stolarskie. To właśnie Polacy nauczyli go jak zbudować drewniany pług oraz inne rolnicze narzędzia.

Wcześniej kierowca Pogotowia Ratunkowego z Gorzowa Wielkopolskiego, gdzie pracowałem jako lekarz medycyny, opowiadał, że jako młody chłopak, mieszkał w tym obozie. Obóz znajdował się między naszą wioską Yibna (Yavne) a Maghar, w okresie 1940-1945 r.

Historia lubi się powtarzać, trzy lata później Palestyńczycy też trafili do obozów i żyją w nich do dnia dzisiejszego. Zaczęła się też tułaczka naszego narodu od Chile do Pekinu. Mam nadzieję że kiedyś to się skończy i ludzie będą żyć razem w pokoju jak kiedyś: bez względu na religię, rasę i pochodzenie, a miasta takie jak Nazaret, Hebron, Betlejem, Jerozolima czy rzeka Jordan staną się dostępne dla wszystkich wiernych z całego świata.

W Polsce znalazłem się jako stypendysta rządu polskiego, za co będę dozgonnie wdzięczny. W Poznaniu ukończyłem studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej, a później jako anestezjolog pracowałem w polskich szpitalach uzyskując stopień doktora nauk medycznych na tej samej uczelni.

W 1991 roku sytuacja lekarzy anestezjologów w Polsce była bardzo ciężka, nie dało się żyć z pensji mojej oraz żony, byłem więc zmuszony działać niestandardowo. Otworzyłem przedsiębiorstwo importu i dystrybucji artykułów spożywczych, a z czasem zająłem się też produkcją spożywczą, Aktualnie mamy trzy zakłady produkcyjne w Wielkopolsce, w których pracuje ok.

200 osób, (LEVANT FOODS Sp. z o.o.).

Nasze produkty są eksportowane do różnych krajów świata promując polski przemysł spożywczy. Tak więc mam podwójną działalność – lekarską i biznesową. Nazywam to schizofrenią kontrolowaną, wymuszoną przez realia okresu transformacji ustrojowej w Polsce.



Dr Kasem Bahloul, właściciel firmy LEVANT FOODS Sp. z o.o.
Informacje o Ludwiku Misky'm na podstawie Wikipedii

Zobacz też:

W poszukiwaniu Zegadłowicza

Upojny klimat czerwca



Włodzimierz Tetmajer, Noc Świętojańska, 1904 r., Muzeum Okręgowe w Lesznie, fot. wikimedia commons

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Czerwiec jest miesiącem, w którym obchodzi się urodziny księdza Jana Twardowskiego. Urodził się 1 czerwca 1915 r. Jakże to wymowne, symboliczne; rocznica Jego urodzin przypada na Dzień Dziecka. Los Mu niejako wyznaczył wielką misję miłowania maluchów, opiekowania się zwłaszcza dziećmi specjalnej troski. Niestety, nie ma Go pośród żywych, ale mamy nadzieję, że po tamtej stronie będzie mógł obchodzić swoje imieniny Jana, w pejzażu uformowanym przez umiłowanego przez niego też Jana, ale ...Kochanowskiego. Autor *Pieśni świętojańskiej o Sobótce* tak właśnie witał przełom wiosny i lata symbolizowanym przez znak

zodiaku wyznaczającym dni między 22 czerwca a 22 lipca:

Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w Czarnym Lesie.

Miesiąc czerwiec kusił także poetę żyjącego ponad trzysta lat później. Leopold Staff pisał o nim w wierszu *Wczesne lato* (tom: *Dziewięć Muz*):

Tak nagle przyszło pełne lato
I zawróciło wszystkim głowy.
I czar czerwcowy jak świat stary
Zdaje się niebywale nowy.

*

Śpiewem zanoszą się słowiki,
Bzu duszne wonie biją zewsząd
I dziko wpada wiatr spragniony
W ramiona rozchylonych dziewcząt.

Piszący te słowa, miłośnik poezji jednego i drugiego twórcy, jest w pewnym kłopotcie. Jak to jest z tym słowikiem. Czy „nie śpiewa”, czy „zanosi się” śpiewem? Czy – jak u Staffa – w końcu czerwca „bzu duszne wonie biją zewsząd”? Doświadczenie mówi, że bzy zwykle kwitną koło połowy maja, na imieniny Zofii. Jednak takie nasze „pragmatyczne” wątpliwości – w obliczu prawdy artystycznej – nie mają znaczenia. W świecie poezji wszystko ma prawo bycia i życia. Podziwiamy przecież Kazimierza Wierzyńskiego, który głosi światu pochwałę wiosny: „Zielono mam w głowie i fiołki w niej kwitną [...]”

Poezja doskonale wprowadza nas w upojny i niemal narkotyczny klimat czerwca. Ja – myśląc o tym, co będzie – jestem wyjątkowo rozstrojony. Pamiętam minione lata. Jedne dni znaczone były ciepłem, słońcem i błękitem nieba, drugie falami dojmującego chłodu i wręcz apokaliptycznymi chmurami niosącymi ostre deszcze. Jedne mijały pod znakiem szarżyzny: przy

umiarkowanej temperaturze powietrza, to pojawiał się nieśmiało jakiś promyk słońca, to znów odsłaniała się tam nad nami, na górze jakaś inna rzeczywistość. Bywało, że niebo darzyło nas słynnym, siąpiącym najczęściej na Podhalu „kapuśniakiem”.

Widocznie tak już musi być. Może jest to taka natura czerwca, który zamyka wiosnę, a inauguruje sezon letni... Jedno z przysłów ludowych podnosi zmienność pogody jako cechę przyrodzoną tego miesiąca: „Wiatry i ludzie czerwcowi do odmiany wciąż gotowi”; „Czerwiec na maju zwykle się wzoruje, jego pluch, pogody, często naśladuje”; „Gdy czerwiec chłodem i wodą szafuje, to zwykle rok cały popsuje”; „Pełnia czerwcową – burza gotowa”... Inne przysłówia niepogody tego czasu każą brać za dobrą monetę, gdyż: „Czerwiec mokry, zimny maj, gospodarzom pewny raj” lub „Grzmoty czerwca rozweselają rolnikom serca”. Jeszcze inne niosą nadzieję: „Czerwiec daje dni gorące, kosa brzęczy już na łące”; „Od czerwca dużo zależy, czy żniwa będą jak należy”; „Kiedy kwitnie w czerwcu bób, to największy wtedy głód, a kiedy mak, to już nie tak”; „W czerwcu grusze kwiat zrzucają, czereśnie się zapalają”.

Czerwiec ma swoje przysłówia. ale ma także swoją poezję sławiącą urok jego długich dni i krótkich nocy wypełnionych po brzegi pulsującym życiem, kreowaniem nowych form istnienia i ich utrwalaniem się w świecie. Wspomniany wyżej Kazimierz Wierzyński w wierszu *Czerwiec*, pomieszczonym w tomiku

Korzec maku (1951) powraca do swojego dawnego, w czas wojny zagubionego, witalizmu, którym przed dziesięcioleciem entuzjastycznie witał wiosnę Niepodległości. Píše:

Może nie szukać wróżby w zodiaku

Tylko tuż obok, na długość rąk:

Czerwiec jest wylęgarnią ptaków

I miodosytnią łąk.

*

Na koniczynie, na czwartym listku

Najwyraźniej wypisane to wszystko

I każda wesoła

Wie o tym pliszka, trawa i pszczoła.

Inny poeta – Mieczysław Jastrun – reprezentant innej już szkoły twórczej i w innym też czasie: *Dzieje nieostygłe* – 1935) w czterozwrotkowym wierszu *Od czerwca* nie mógł się także

wyzwolić, bo i nie próbował, z narkotycznych uroków świata w fazie przechodzenia wiosny w lato:

Powraca znowu to widzenie

Zbóż opylonych:

Po kłosach ptak przeleciał cieniem,

Chwieje się mak czerwony,

[...]

W półkolu żółtych słoneczników,

Na alkoholach lata,

Nabijasz mnie na różę dziką.

Na palach i na kwiatach.

Czerwiec – jak powiedziałem – jestznaczony zmienną pogodą, urokiem przyrody, mądrymi przysłowiami i świeżością metafor poświęconych mu wierszy. Pośród przywołanego tu bogactwa nie można w żadnym przypadku zagubić tego, co w planie życia zbiorowego przynosiła nam historia, znacząc nasze tęsknoty i

dążenia do godnego, opartego na pełnej podmiotowości bytu krwawym pasmem ofiar. Nie można zapomnieć poległych w latach pięćdziesiątych zarówno w wydarzeniach poznańskich, jak i węgierskich ludzi. Ich twarze na nas patrzą oczekując od nas mądrości, uporczywości i konsekwencji w procesie wypierania autokracji i totalitaryzmu. Nie można spać upojnym snem, cieszyć się euforycznie z dostatku i w miarę wygodnego życia wówczas, gdy na świecie szerzą się: gwałt, hipokryzja polityczna, egoizm, cynizm. Nie można zamknąć się psychicznie w wieży z kości słoniowej, kiedy lista naszych narodowych „grzechów głównych” jest większa od przysłowiowej „siódemki”.

Nie ma innego sposobu na zbiorowe życie, jak dialog, jak próba jednego człowieka zrozumienia drugiego. Wytrwale, cierpliwie, bezustannie. Całkiem humanitarne jest przywracanie pośmiertnej czci niesłusznie skazanym, ale prawdziwą cnotą człowieka, jego kategorycznym obowiązkiem, jego powinnością okazuje się robienie wszystkiego, by gwałt, brutalność, przemoc, pomówienie nie były metodami dowodzenia czyichś racji.

W tym, co piszę jest smutek, gorzkość, ale i nadzieja. Może od przyrody nauczymy się czegoś. Właśnie zafascynowania życiem, jakie płynie w dynamicznym rytmie czerwcowych dni i nocy.

Na koniec muszę wrócić do księdza Jana Twardowskiego. W naszych kontaktach zwracałem się do Niego to „Księżu

Rektorze”, to znów „Księżu Janie”. Ubawił się, gdy Mu powiedziałem, iż cieszę się, że „nie jest klechą”, lecz prawdziwym duchownym. Chyba najbardziej podobał Mu się zwrot „Księżu Janie... z Czarnolasu”.

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Zobacz też:

Rozkwit poezji w maju

Kwiecień – bohater literacki

Chopin zabrzmie w sieci



Hubert Rutkowski, fot. **Timur Gatos/Chopin Festival**
Hamburg

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)

Niemieckie sale koncertowe i sceny operowe powoli otwierają

swoje podwoje dla słuchaczy, którzy mogą już obcować z muzyką „na żywo”. Na razie na widownię wpuszczane są osoby z negatywnym wynikiem testu na obecność koronawirusa, a ilość widzów jest ograniczona. Dlatego niektóre imprezy muzyczne odbywają się jeszcze online, ale dzięki temu docierają do szerszej publiczności. W przypadku Festiwalu Chopinowskiego w Hamburgu, którego specjalną, trzecią edycję będzie można obejrzeć w dniach od 11 do 13 czerwca 2021 r., dochodzi tu jeszcze jedna zaleta: precyzja brzmienia historycznych i nowoczesnych instrumentów, które będą zestawiane ze sobą w nietypowych kombinacjach. Na Festiwalu wystąpią światowej sławy pianiści: Mari Kodama, Severin von Eckardstein, Tomasz Ritter, Stepan Simonian, Dina Yoffe (która poprowadzi kurs mistrzowski dla studentów Wyższej Szkoły Muzycznej i Teatralnej) oraz klawesynista Menno van Delft. Instrumenty i sale koncertowe udostępnia Muzeum Sztuki i Rzemiosła w Hamburgu. Pomysłodawcą, intendentem i uczestnikiem Festiwalu jest profesor Hubert Rutkowski z Wyższej Szkoły Muzycznej i Teatralnej w Hamburgu, Prezes Towarzystwa Chopinowskiego Hamburg & Sachsenwald, który opowie więcej o tym wydarzeniu muzycznym.



Hubert Rutkowski, fot. **Timur Gatos/Chopin Festival
Hamburg**

Jolanta Łada-Zielke:

Dwie pierwsze edycje festiwalu odbyły się jeszcze przed pandemią, w 2018 i w 2019 roku. Czym szczególnym wyróżnia się obecna?

Hubert Rutkowski:

Specjalnością naszego festiwalu jest prezentacja nie tylko wybitnych artystów, ale i instrumentów, zarówno współczesnych, jak i historycznych. Od samego początku współpracujemy z *Museum für Kunst und Gewerbe* (Muzeum Sztuki i Rzemiosła) w Hamburgu, które udostępnia nam historyczne instrumenty. Mając do dyspozycji starsze i nowoczesne modele, dokonujemy swego rodzaju konfrontacji tych dwóch światów dźwiękowych. Myślę, że trzecia edycja naszej imprezy, w trakcie pandemii, może zyskać przez fakt, że wszystkie koncerty będą transmitowane na żywo. Dzięki temu nasz przekaz dotrze do większej liczby odbiorców.

W tym roku prezentują Państwo twórczość Chopina w różnych kontekstach, nie tylko w romantycznym, lecz także w barokowym, bo jednym z gościnnie występujących artystów jest klawesynista z Holandii Menno van Delft. Czy to rodzaj eksperymentu, czy celowy zabieg?

Jedno i drugie. Związek Chopina z muzyką barokową jest bardzo silny, ponieważ Bach był dla niego niesamowicie istotnym i ważnym kompozytorem. Granie muzyki Bacha i inspirowanie się nim stanowi ważny aspekt w twórczości Chopina. Z drugiej strony rzeczywiście przeprowadzamy pewien eksperyment, dlatego że na jednym z koncertów zabrzmiał oryginalny, historyczny klawesyn Zell z 1728 roku, w zestawieniu ze współczesnym fortepianem Shigeru-Kawai. Menno van Delft i

Stepan Simonian wykonają nie tylko te same utwory na obu instrumentach, ale nawet kilka z nich zagrają równocześnie. Dla niektórych jest to wręcz niedopuszczalne, że historyczny klawesyn gra *unisono* ze współczesnym fortepianem. My jednak podejmujemy się takiego eksperymentu, zwłaszcza że oba te instrumenty będą zestrojone w stroju barokowym. To też bardzo ciekawy zabieg, który przy normalnej, koncertowej akustyce, mógłby się nie sprawdzić. Natomiast podczas naszego koncertu, to urozmaicone brzmienie będzie mogło dotrzeć do słuchacza w bardzo precyzyjny sposób, dzięki technice *live stream* i profesjonalnej realizacji dźwięku.

Drugi kontekst jest późnoromantyczny: Debussy, Rachmaninow, Saint-Saens, a więc kompozytorzy, którzy mogli inspirować się muzyką Chopina.

Absolutnie tak, bo to jest festiwal pianistyczny, który prezentuje muzykę fortepianową w różnych kontekstach. Podczas koncertu inauguracyjnego wykonam razem z Severinem von Eckardsteinem utwory uważane za największe osiągnięcia literatury pianistycznej na dwa fortepiany. W programie znajdzie się suita Rachmaninowa, „Dance macabre” Saint-Saënsa, Rondo Chopina i Sonata Mozarta. Zaprezentujemy brzmienie fortepianu i jego możliwości w obsadzie duetowej.

Jeśli chodzi o rozwój budowy fortepianów, to w ciągu

ostatnich dwustu lat głębokość zapadania się klawiszy zwiększyła się z 5-6 do 10 mm. Wynika stąd, że dziś pianiści muszą zwiększyć siłę nacisku. Muzyka Chopina wymaga jednak pewnej lekkości, choć jest momentami dramatyczna. Czy wobec tego łatwiej jest grać Chopina na instrumencie historycznym, niż na nowoczesnym?

To zależy od utworów i od właściwości konkretnego instrumentu. Z czysto technicznego punktu widzenia, niektóre wirtuozowskie dzieła łatwiej jest zagrać na fortepianie współczesnym, bo posiada on bardziej doskonały mechanizm, który niejako „pomaga” pianiście. Mimo, że głębokość zapadania się klawiszy jest większa, ma się do dyspozycji mechanizm tzw. podwójnej repetycji, można więc bardziej zdać się na instrument, który pomoże nam wydobyć pewne efekty bez specjalnego wysiłku z naszej strony. Na fortepianie historycznym należy grać z niesamowitą precyzją, bo jego mechanika nie jest tak doskonała. Trzeba bardzo się napracować, żeby jakość dźwięku była dokładnie taka, o jaką chodzi. Z drugiej strony uwagi, jakie Chopin zapisał w tekście swoich partytur, nie są do końca możliwe do zrealizowania na współczesnym instrumencie. Na fortepianie Pleyela (1847), albo Èrarda (1880) pewne efekty pojawiają się w sposób naturalny, podczas gdy dla nowoczesnego instrumentu musielibyśmy je specjalnie zaaranżować. Ten temat jest bardzo szeroki i nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

Ale studenci biorący udział w warsztatowej części festiwalu będą grać na nowoczesnym modelu Shigeru-Kawai?

Oczywiście. Cała sztuka polega na przeniesieniu doświadczenia nabytego w grze na instrumentach historycznych na fortepian współczesny. Dina Yoffe, która będzie prowadzić kurs mistrzowski, ma bardzo bogate doświadczenie w tym zakresie. Znane są nagrania utworów, które wykonywała na fortepianie historycznym.

Muzykę Fryderyka Chopina szczególnie lubią Słowianie i melomani z krajów azjatyckich. A jak odbierają go Niemcy, którzy mają aż tylu wybitnych kompozytorów?

W środowisku zawodowych muzyków Chopin należy bezzwzględnie do kanonu najwyższych standardów, a wśród pianistów znajomość jego utworów jest obowiązkowa. Natomiast dla przeciętnych melomanów, którzy chodzą na koncerty, ale nie mają pogłębionej wiedzy muzycznej, Chopin niekoniecznie znajduje się na pierwszym planie. Dlatego celem naszego festiwalu jest również pokazanie i zaakcentowanie postaci Fryderyka Chopina w Hamburgu – mieście Felixa Mendelssohna i Johannes Brahmsa, które leży w połowie drogi między Paryżem a Warszawą. Chopin jest bowiem bardzo ważną postacią zarówno dla pianistyki, jak i pedagogiki pianistycznej oraz kompozycji.



Hubert Rutkowski, fot. **Timur Gatos/Chopin Festival Hamburg**

Hamburg jest także miastem Carla Philippa Emanuela Bacha, chociaż utwory fortepianowe stanowią niewielką część jego twórczości.

Tak, ale napisał za to bardzo ważną pracę pod tytułem *Versuch über die wahre Art das Clavier zu spielen*. Tę książkę można wręcz potraktować jako pierwszy podręcznik do gry na instrumentach klawiszowych. Carl Philipp Emanuel Bach miał więc ważny wpływ na rozwój pianistyki.

Wracając do Fryderyka Chopina, niektórzy Niemcy

(najczęściej niezwiązani z muzyką) nie zdają sobie sprawy z jego narodowości i są bardzo zdziwieni dowiadując się, że był polskim kompozytorem.

Ja mam na to świetną odpowiedź, mianowicie, że Chopin był Rosjaninem. Urodził się pod zaborem rosyjskim i opuszczał Polskę w 1830 roku z rosyjskim paszportem.

Ale czasem i zawodowi muzycy popełniają gaffy. Christian Thielemann w swojej najnowszej książce *Meine Reise zu Beethoven* wyraża przypuszczenie, że jeżeli Chopin w ogóle znał i grywał Beethovena, to prawdopodobnie go nie cenił. Skąd taka opinia może wynikać?

To oczywiście nieprawda, ale w Niemczech funkcjonuje jeszcze pewien stereotyp, że Chopin to kompozytor bardziej „salonowy”, że jego muzyka jest „zu süß” (za słodka). Nasz festiwal służy również temu, żeby obalać podobne stereotypy.

Zapraszam serdecznie wszystkich miłośników muzyki fortepianowej do wysłuchania niestandardowego, oryginalnego Festiwalu Chopinowskiego w Hamburgu, w wydaniu specjalnym *live stream online*, z eksperymentami i nieoczekiwanymi zwrotami programowymi.

Dziękuję za rozmowę.

Program festiwalu oraz transmisje poszczególnych koncertów i warsztatów pianistycznych są dostępne na stronie internetowej: www.chopin-festival.de

<https://www.chopin-festival.de/2021.php>

*

Zobacz też:

Chopin odpowie miłością

Edward Baran –

wspomnienie

13 lutego 1934 r., Lesko - 13 maja 2021 r., Angers
(Francja)



Edward Baran na tle swojej pracy
Henryka Milczanowska

historyk sztuki, kurator

Fundacja dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989, Warszawa

To, co ja dzisiaj odczuwam, patrząc po latach na te moje
„beztroskie papiery”,
na te ich szlachetną beznadziejność materii, która je tworzy,
to pewien żal
za straconym czasem – przeżytym, równie „wyrwanym” w
moim życiu, dla
pewniej poetyki plastycznej i wyrazu, które wdzierają się w
strefę ustalonego
konwencjonalnego „artyzmu”, i którą tak niewiele ludzi w
ogóle zauważa,
bo zostanie po moim życiu tak mało tego „t w a r d e g o”,
wiszącego na solidnym gwoździu.

*

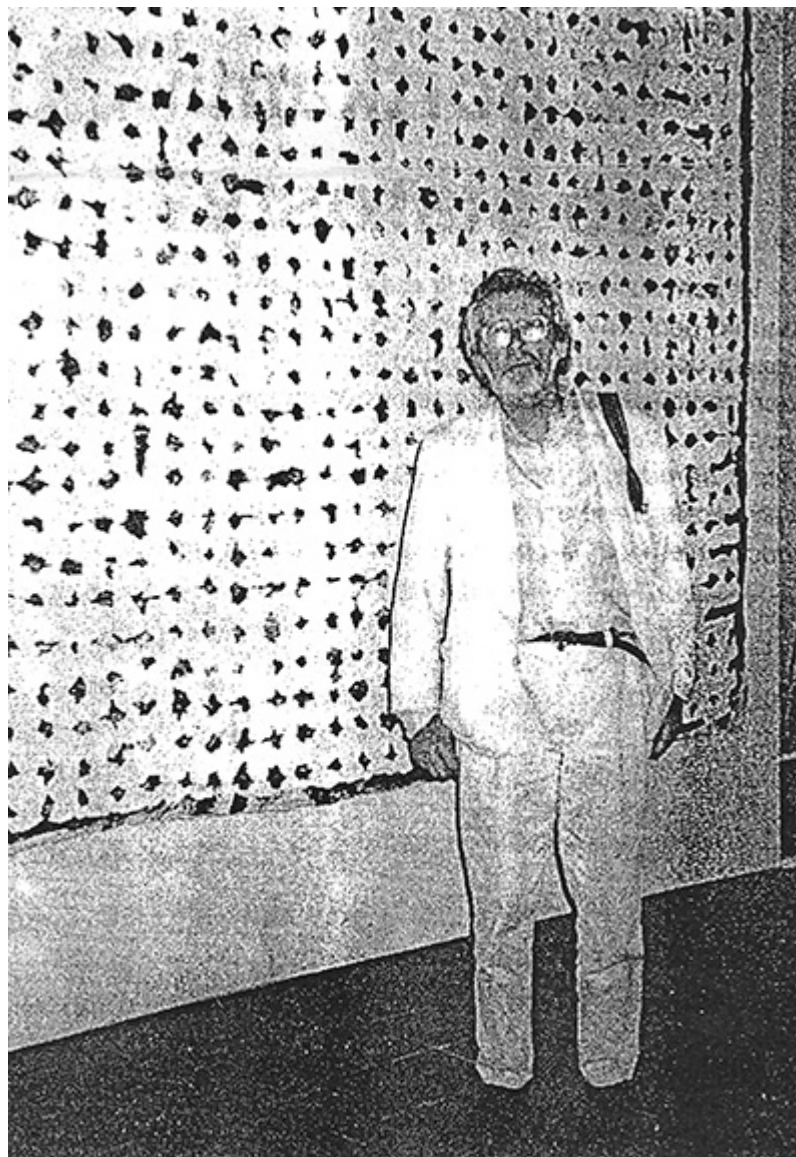
Edward Baran, maj 2019 r.

Gdy odchodzi Artysta, zostaje po nim pusta pracownia i Jego
dzieła. To bardzo dużo! Całe bogactwo świata duchowego
twórcy. Materialna obecność nieobecnego.

Znaliśmy się od pierwszej wystawy, którą mu aranżowałam w

2000 roku. W Muzeum Historycznym w Sanoku. W ogromnym XVI-wiecznym zamku trwały długie przygotowania do zawieszenia Jego obrazów, w większości wielkich rozmiarów, sześć na trzy metry. Pamiętam te emocje kiedy otworzyłam pierwszy obraz, rozwinęłam rulon i poczułam, jakby runął na mnie las. Tytuł dzieła: *Czy lubicie drzewa?* Czy lubię drzewa?! Kocham ten obraz! Już wtedy to ogromne i zarazem delikatne w swej materii dzieło miało swoją ekspozycyjną, bogatą historię. Było prezentowane w 1980 roku na niezwykle prestiżowej wystawie *L'art aujourd'hui 1 (Kunst i dag 1)*, która odbyła się w 1980 roku w galerii *Ordurpgaar Samlingen* w Charlottenlund w Kopenhadze. Obok pracy Edwarda *Czy lubicie drzewa?* znalazły się tam również dzieła tak wówczas ważnych artystów francuskich, jak Pierre Buraglio, Jean-Michel Meurice, czy Claude Vialat. Naturalnie, po tym co zobaczyłam, czyli ponad 100 przywiezionych obrazów, byłam bardzo ciekawa Artysty! Przyjechał tuż przed wystawą i pierwsze o co poprosił, to o katalog wystawy, a w nim był mój tekst... Spacerowaliśmy po zamkowym dziedzińcu. On przeprosił, że się na chwile oddali, bo musi przeczytać na osobności. Usiadł na ławeczce, pochylony nad tekstem, czytał w skupieniu. Od tego dnia rozpoczęła się nasza długoletnia przyjaźń. Dwadzieścia lat rozmów głównie przez telefon, bogata korespondencja obfitująca w rozważania teoretyczne na temat miejsca jego malarstwa w sztuce. Było też kilka wizyt tam we Francji i tu w Warszawie. Kilka autorskich projektów wystaw w muzeach i galeriach w Polsce.

Niewątpliwie wcześniejsze wystawy w kraju, szczególnie ta w Zachęcie w 1991 roku, pt. *Jesteśmy* pozwoliła znów zaistnieć Artyście na polskiej scenie wystawienniczej. Wkrótce po niej zaproponowano mu wystawę indywidualną w Galerii Kordegarda, na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, a stamtąd zachęcony otwartością przyjęcia i organizacji wystaw, zwrócił się w kierunku miejsca urodzenia i nawiązał kontakty z galeriami w Polsce południowo wschodniej. I tu skrzyżowały się nasze drogi, poglądy i rozumienie sztuki, którą kreował. Po sanockiej wystawie były kolejne miejsca, Galeria STUDIO w Warszawie, Galeria Grodzka w Lublinie i one dawały nadzieję na taką samą popularność sztuki Edwarda Barana w Polsce, jaką cieszył się we Francji. W 2009 roku najbardziej jak dotąd zaangażował się w organizację wystawy w Galerii West, w Warszawie, gdzie we wspólnym udziale dzieł dwóch polskich artystek Ariki Madeyskiej i Marii Papy Rostkowskiej niemal samodzielnie zaaranżował ekspozycję, przywożąc obrazy własnym samochodem z dalekiej Francji. Emocje, zaangażowanie, wiara w sens artystycznego powrotu do kraju i chęć udowodnienia, że jestem tu, działał miało swój wielki przekaz w tytule wystawy: *Oni wybrali Paryż*. Spotkanie po latach z dawnymi kolegami, przyjaciółmi, profesorami warszawskiej Akademii, przyniosło zawód i smutek. Brak porozumienia, a nawet niezrozumienia na płaszczyźnie twórczej i osobistej spowodował ponowne oddalenie się od ojczyzny.



Edward Baran na tle obrazu „Czy lubicie drzewa”, przed wernisażem w Muzeum Historycznym, Sanok, 2000

Mijają właśnie dwa lata (2019) od ostatniej wizyty w kraju Edwarda Barana, która odbyła się przy okazji wystawy zorganizowanej we współpracy dwóch instytucji, Fundacji dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989 i Muzeum Papiernictwa w Dusznikach. Dzisiaj już wiemy, że była to ostatnia wystawa z udziałem Artysty, spotkanie z widzami, przyjaciółmi i rodziną. Takie małe pożegnanie, choć wówczas byliśmy pełni nadziei, że będą kolejne wystawy w Polsce, nowi odbiorcy, zainteresowanie

krytyki artystycznej, na której tak Artyście zależało. Krótco po tej wystawie pojawił się artykuł w „Culture Avenue”, szerzej prezentujący czytelnikom Dusznickie wydarzenie. Zawierał kilka cytowanych wypowiedzi Artysty o własnej twórczości, emigracji i wystawach, które były, a także o tych zaplanowanych, w których, jak dzisiaj wiemy, nie będzie uczestniczył.

W ostatnich kilkunastu latach, nie było nic tak świadomego w twórczości Edwarda Barana, jak poczucie uciekającego czasu, który niejako symbolicznie sam się „wplatał” w każdy kolejny nowopowstający obraz. Najbardziej było to widać w rozmiarach obrazów, były coraz mniejsze, bo dłonie były coraz mniej sprawne. Ostatecznie powrócił do klasycznego malarstwa, płótno i pędzel, jak wtedy, gdy na początku świadomie od niego odszedł – *bo taka zaistniała wtedy potrzeba, a teraz pędzel łatwiej utrzymać.*



Edward Baran i Henryka Milczanowska, 18 czerwca 2017 r.



Wernisaż w Muzeum Papiernictwa w Dusznikach 2019, Edward Baran i Ewa Bobrowska

Historia życia tego niezwykłego twórcy, malarza – emigranta jest wciąż niedostatecznie znana w kręgu odbiorców w Polsce. Obrazy są bardziej rozpoznawalne głównie ze względu na oryginalną technikę wykonania, pojawiają się w dużej liczbie na internetowych stronach międzynarodowych galerii, w relacjach z dawnych i aktualnych wystaw w muzeach. W latach 70. i 80. kiedy kariera artystyczna i zawodowa Edwarda Barana rozwijała się z sukcesami nie potrzebował szczególnej reklamy swoich działań. Liczne wystawy indywidualne, we Francji, Danii i Szwecji, otworzyły mu drogę do najważniejszych galerii w Europie. Stabilność finansową zapewniała Szkoła Sztuk Pięknych w Angers, gdzie podjął pracę w 1979 roku, na stanowisku profesora rysunku i kompozycji. Z czasem, jak powiadał świat się zmienia, komercjalizuje, a On nie dbał o swoją medialną popularność. Wierzył, że każdy kto posiada odrobinę wrażliwości i zrozumie sens jego sztuki, znajdzie drogę do niego i do Jego pracowni. W części katalogu wystawy, pt. *W przestrzeni papieru*, w Muzeum Papiernictwa w Dusznikach znajduje się *Kalendarium życia i twórczości Artysty*, w opracowaniu dr Ewy Bobrowskiej. Jest to jedyny wydany w języku polskim, tak szczegółowy opis życia Edwarda Barana z bogatym komentarzem autorki. Podczas wystawy Artysta został uhonorowany muzealnym tytułem *Ojca Sztuki Papieru w Polsce*.

*

Cytaty pochodzą z listów i nagranych rozmów autorki z Artystą.

O wystawie Edwarda Barana w Dusznikach:

W przestrzeni papieru. Edward Baran.

Wieczorne rozmowy z wnukami w trudnym czasie



Okładka książki Kazimierza Brauna

Nakładem Wydawnictwa 3DOM ukazała się w tym roku pozycja, która objaśnia młodemu pokoleniu tradycję i patriotyzm. Kazimierz Braun w publikacji zawarł osobiste rozmowy z wnukami, opowiada im o swoim życiu i życiu członków rodziny, kim byli i jakimi wartościami się kierowali. Autor tłumaczy, na czym polega lojalność, odwaga, miłość, rodzina i poświęcenie. To jest książka nie tylko dla dzieci, dorośli też przeczytają ją z dużym zainteresowaniem. Ważnym przesłaniem książki jest uświadomienie rodzicom, że z dziećmi, nawet tymi bardzo małymi, trzeba rozmawiać, opowiadać, kim byli przodkowie, tłumaczyć trudne sytuacje, bo przecież to dorośli kształtują nowe pokolenie. Zalew zbędnych informacji, którymi atakowany jest

młody człowiek, nie da mu oparcia, poczucia własnej tożsamości i swoich korzeni. Rodzice, często zabiegani w pogoni za przyszłością, zmęczeni codziennymi troskami, nie znajdują czasu na długie rozmowy z dziećmi. Dziadkowie są na innym życiowym etapie, więc to oni mogą się zająć edukacją swoich wnuków. Kazimierz Braun jest dramaturgiem, reżyserem teatralnym, pisarzem, a także profesorem i wykładowcą akademickim. Wykładał m.in. na Uniwersytecie Wrocławskim, New York University, Uniwersytecie Kalifornijskim (w Santa Cruz) i przez wiele lat na University at Buffalo. Mimo wielu lat spędzonych na emigracji, ojczyzna i więzi rodzinne są dla niego bardzo ważne. *(Joanna Sokołowska-Gwizdka, red.).*

Kazimierz Braun *(Buffalo)*

PROLOG

Miałem w moim, już długim życiu, Bożą Łaskę, niezmiernie szczęście i wielki przywilej opowiadania moim dzieciom i wnukom różnych historii, wspomnień, bajek. Wydobywałem je z własnej pamięci, a także z wyobraźni, z historii rodziny i kraju. Wyplącałem się w ten sposób za te dary jakimi ubogacali mnie kiedyś moi rodzice, Juliusz i Elżbieta z Szymanowskich, a także babcia Henryka Braunowa, która mieszkała latami w naszych domach rodzinnych. Dziadka Karola Brauna nie znałem. Zmarł przed moim narodzeniem. Natomiast dziadek Michał Szymanowski, w którego dworze, w Mokrsku Dolnym nad Nidą,

urodziłem się, był najpierw dla małego wnuka dalekim, wyniosłym punktem odniesienia w porządkowaniu dzieciennego świata, ale później, gdy już ograbiony przez tzw. „reformę rolną” ze swego majątku zamieszkał w jednym sublokatorskim pokoju w Kielcach, zapraszał mnie często do siebie i wtedy obdarzał mnie opowiadaniem o życiu, jakie było przed wojną – przed okupacją niemiecką i przed okupacją sowiecką, jak nazywał zaprowadzone w Polsce komunistyczne rządy.

Gdy zeszliśmy się z Zofią Reklewską, to okazało się, że pochodzimy z podobnych okolic. Ja urodziłem się w Kieleckiem, i całe dzieciństwo spędziłem w tamtych stronach, w leśnym domu w Milechowach, a ona, wprawdzie urodziła się w Warszawie, ale jako dziecko mieszkała w Sandomierskiem, w Mirogonowicach, we dworze swoich rodziców Wincentego i Anny Reklewskiej z Wasiutyńskich, przy czym jej ojciec prawie tuż po jej urodzeniu został zamordowany przez komunistycznych bandytów.

Gdy w naszym życiu małżeńskim otrzymaliśmy dar dzieci, to moje wieczorne opowiadania Monisi, Grzesiowi, Justysi stały się prawie-że niezbędnym rytuałem rytmu rodzinnego dnia, potrzebnym do tego stopnia, że gdy kroił się jakiś mój wyjazd z domu na dłużej (a to zdarzało się – teraz sędzę – zbyt często), to nagrywałem wieczorne opowiadanki na kasetę, a Zosia odtwarzała je wieczorami dzieciom.

Lata mijały, nasze dzieci rosły. Pojawiały się ich dzieci. Siadałem przy łóżeczku małej Ani, potem małej Asi, a potem małej Anielki – córek naszej córki Moniki. Potem takie dobre chwile dane mi było dzielić z córkami naszej córki Justyny – Zosią i Lilką. Z nimi – tak się to ułożyło w naszym życiu rodzinnym – byliśmy blisko, i jesteśmy – od samego ich urodzenia, i nadal, gdy już stają się panienkami. Nadal są okazje do wieczornych, i nie tylko wieczornych, opowiadań.

Jestem wszystkim tym dzieciom niezmiernie wdzięczny, że zechciały mnie obdarzać swoją uwagą, że jakoś przydawałem się im do podciągnięcia pod brodę kołderki, poprawienia poduszeczki, wygładzenia wyobraźni rozbrykanej w ciągu dnia, przywołania w ich pobliże Anioła Stróża, ale także do wywołania z przeszłości tych, z którymi teraz nie mogą się spotkać, a którzy jednak czuwają nad ich snem.

Ta książeczka powstała z tęsknoty za takimi chwilami także przy łóżeczkach Alka i Helenki, dzieci mego syna Grzegorza i jego żony Aleksandry. Chciałbym, aby przydała się im dwojgu i ich dzieciom, a może i innym rodzicom, i innym dzieciom.

W czasie, w którym piszę te słowa – a jest to straszny i tajemniczy czas zarazy, jedni zowią go epidemią, inni pandemią, a jeszcze inni, po prostu, wojną – dorośli i starsi spędzają, nawet i przymusowo, więcej czasu w domu. Siadają wieczorami przy

małych łóžeczkach. A dzieci właśnie w takim czasie bardzo potrzebują – nie rozumiejąc przecież, co się wokół nich dzieje – obecności, ciepła, uwagi i słowa dorosłych.

Mam nadzieję, że te wieczorne rozmowy z moimi wnukami, pozostając w kręgu historii jednej rodziny, zawierają w sobie ziarna, które można zasiać w ogrodach innych rodzin. Próbuje bowiem opowiadać nie tylko o ludziach i zdarzeniach, ale także, bardziej ogólnie, o wierności, odwadze, troskliwości, pracowitości, o bardzo prostym i oczywistym trwaniu przy wierze, wartościach i zasadach, o pielęgnowaniu tradycji. A także, te moje opowiadanki mogą się może przydać, jako swego rodzaju mapa drogowa, która posłuży moim dorosłym czytelnikom w wyprawach szlakami ich własnej pamięci. (...)



Rzeźba dziadka z wnukiem, fot. Birkenhain z Pixabay

ROZMOWY Z ALKIEM

Dzielny pradziadek Juliusz

Tego wieczora, jak tylko usiadłem przy łóżeczku Alka, powiedziałem od razu:

- Dzisiaj, Alku, opowiem ci o twoim pradziadku. Był ojcem twojego dziadka, to jest moim ojcem. Na imię miał Juliusz. Na

drugie imię Henryk. Nazwisko nosił takie same jak ty, jak twój ojciec.

- Ja jestem Aleksander Braun. Aleksander Wincenty Braun - powiedział poważnie Alek. Ja wiem jak się nazywam. Ja to wiem bardzo dobrze.

- A on, twój pradziadek, nazywał się Juliusz Henryk Braun. Pod koniec życia był profesorem, uczył studentów, wiesz, o kimś takim mówi się „nauczyciel akademicki”. Ty masz nauczycielki w przedszkolu. Teraz twoją nauczycielką jest twoja mamusia, prawda? Bo przedszkole zamknięte, więc uczysz się w domu. Zanim został nauczycielem akademickim twój pradziadek był prawnikiem. Takie uzyskał wykształcenie, to znaczy, tego się nauczył, to robił.

- Kim, dziadku, był pradziadek? Prawnikiem?

- Tak, prawnikiem. To znaczy, że znał prawo i pomagał ludziom przestrzegać prawa. Prawo mówi o tym, co wolno, a czego nie wolno. Jak ktoś zrobi coś, czego nie wolno robić, to może być postawiony przed sądem.

- To on był sędzią? - zapytał Alek. - Bo ja wiem, że w sądzie jest sędzia. I na boisku piłkarskim jest sędzia. Czy on był sędzią piłkarskim?

- On nie był sędzią. Był obrońcą. I nie na boisku, tylko w sądzie.

- Obrońcy to są na boisku - skonstatował autorytatywnie Alek. - Oni grają z tyłu, za nimi jest tylko bramkarz, a z przodu grają napastnicy. Lewandowski!

- W sądzie też są obrońcy - starałem się przekonać małego rozmówcę. - Widzisz, jak jakiś człowiek staje przed sądem, to sędzi go sędzia. Ale jest także jeden taki prawnik, mówi się o nim prokurator, który przedstawia sędziemu winy tego człowieka, oskarża go. A drugi prawnik, który nazywa się adwokat, broni go przed tymi oskarżeniami. Sędzia słucha co mówi oskarżony, co mówi prokurator, co mówi adwokat. A potem wydaje wyrok. Kiedyś będziemy musieli dłużej porozmawiać o sądzie, o sądach, o tym, co się nazywa „wymiar sprawiedliwości.” Często, niestety, to jest raczej wymiar niesprawiedliwości. Ale teraz powiem ci tylko, że twój pradziadek był obrońcą, adwokatem. Bronił ludzi w sądach. Pomagał ludziom w ten sposób. Żył długo. Zrobił wiele dobrego. Wiele też wycierpiał.

Gdy to powiedziałem - natychmiast opadły mnie wspomnienia tych strasznych chwil - obrazów: aresztowanie ojca przez gestapowców; aresztowanie ojca przez ubeków; ogłoszenie wyroku na ojca - właśnie: niesprawiedliwego wyroku - przez komunistyczny sąd wojskowy; widzenia z ojcem w więzieniu. I ten moment, jak cios: siedzimy nad rzeką Wierną po kąpieli w

letnie popołudnie. Są rodzice, dzieci, i jest już z nami Zosia, moja młoda żona. Wszyscy jesteśmy w kostiumach kąpielowych. I ona nagle, tak po prostu, pyta ojca, z głębi swojej troski o niego i miłości do niego – nie pamiętam dokładnie jej słów – pyta o zauważone nagle blizny na jego plecach i piersiach. Pamiętam słowa ojca – krótkie, tylko informacyjne, jakby bezosobowe, jakby to nie było o nim: to z ubeckich przesłuchań na Mokotowie.

Nie pozwoliłem jednak swojej myśli kołatać się po tych ciemnych zaułkach. Z wysiłkiem zamknąłem wieko studni pamięci.

Powiedziałem tylko:

– Wiele mam ci, Alku, do opowiedzenia o twoim pradziadku. Jak Pan Bóg da to jeszcze znajdzie się na to czas. Dzisiaj opowiem ci jak był żołnierzem.

– Miał karabin? Ja mam pudełko ołowianych żołnierzyków – pochwalił się Alek.

– Miał karabin. Gdy służył jako wartownik. Gdy służył jako kierowca wojskowy to miał pistolet. Bo to było tak, Alku, że za jego życia były dwie wielkie wojny na świecie, w Polsce. I on, twój pradziadek, w czasie pierwszej z tych wojen był za młody, aby pójść do regularnego wojska, ale chciał walczyć o Polskę, więc zgłosił się jako ochotnik – to znaczy sam tak chciał, choć nie musiał – do harcerskiej służby wartowniczej, bo był harcerzem. I

tam dostał karabin. I był żołnierzem. A gdy wybuchła druga wojna, gdy Niemcy napadli na Polskę, to pradziadek był tym razem już za stary, aby otrzymać powołanie do wojska. Ale znów zgłosił się sam, jako ochotnik. Znów chciał walczyć o Polskę. Zgłosił się do wojska ze swoim samochodem. Ponieważ był to dobry samochód, mercedes, więc został oddany do użytku generałowi, dowódcy jednej z polskich armii. I w ten sposób twój pradziadek został kierowcą tego generała. Wtedy otrzymał pistolet.

Polska walczyła z Niemcami przez kilka tygodni. Armia tego generała wykazała się szczególnym bohaterstwem. Ale ostatecznie została otoczona ze wszystkich stron przez przeważające siły niemieckie. Generał, dowódca armii, postanowił się poddać i poddać resztki swych wojsk. To znaczy przestać walczyć, po to, aby uratować życie tych żołnierzy, którzy mu jeszcze pozostali. Wszyscy dostali się do niewoli – wszyscy żołnierze, generał, a także jego kierowca, twój pradziadek.

Niemcy urządzili dla nich wszystkich prowizoryczny obóz jeniecki na jakiejś wielkiej łące. Wyobraź to sobie: wielka łąka, a na niej stoi wiele polskich, wojskowych samochodów osobowych i ciężarowych rozrzuconych chaotycznie, w tym mercedes twego pradziadka. Na łące kłębią się grupami i pojedynczo polscy oficerowie i żołnierze – bez broni. Bo są jeńcami. Łąka otoczona

jest drutem kolczastym umocowanym do świeżo wbitych w ziemię drewnianych palików – tak jakby to było wielkie pastwisko. Tylko, że zamiast bydła są na nim ludzie. Poza drutami, na zewnątrz, rozsiane są gęsto niemieckie posterunki z ciężkimi karabinami maszynowymi wycelowanymi w łąkę, w tych ludzi. Na zewnątrz drutów przechadzają się niemieccy wartownicy. A za nimi, tworząc ogromny pierścień, stoją niemieckie czołgi z lufami także wycelowanymi na tych ludzi. Opowiadałem ci kiedyś, Alku, o czołgach rosyjskich, które podpełzały do naszego zimowego lasu pod koniec tej właśnie wojny. A to, co ci teraz opowiadam, wydarzyło się na jej początku, a czołgi były niemieckie. Sytuacja, zdawałoby się, bez wyjścia. Wszystkich jeńców czekała niewola.

Twój pradziadek był jednym z jeńców. Swój pistolet musiał oddać Niemcom. Ale od samego momentu uwięzienia myślał o ucieczce. O wydostaniu się na wolność. Nie godził się na niewolę. Był człowiekiem przedsiębiorczym, sprytnym i odważnym. Chodząc w ciągu dnia po otoczonej przez Niemców łące, zauważył jakąś większą przerwę między niemieckimi posterunkami i czołgami. Postanowił uciec – wyczołgać się w nocy z obozu jenieckiego. Był kiedyś harcerzem – w harcerstwie nauczył się czołgać.

Wiesz, co to jest czołganie się, prawda, Alku? Szorujesz brzuchem po trawie, po piasku, czy nawet kamieniach, podciągasz się ku przodowi tylko rękami i cały czas uważasz,

żeby być jak najbliżej ziemi.

Więc pradziadek czekał w tym miejscu do nocy. Chciał się wyczołgać pod osłoną ciemności. Wszyscy jeńcy poukładali się po prostu na ziemi, żeby się jakoś przespać. Zapadła ciemność. Pradziadek czuwał i już miał rozpocząć swoją próbę ucieczki z obozu, gdy nagle zaryczały motory czołgów stojących dookoła obozu i zapaliły się ich reflektory oświetlając całą łąkę. Były jednak pomiędzy tymi reflektorami smugi cienia. Choć ucieczka w tych warunkach była naprawdę bardzo ryzykowna, pradziadek zaczął się czołgać – najpierw pod drutami kolczastymi, potem między niemieckimi wartownikami, potem między niemieckimi czołgami. Czołgał się bardzo długo. Wreszcie zostawił Niemców za sobą.

W jakichś krzakach zdjął kurtkę munduru i wepchnął ją pod liście. Zachował jednak portfel – wiesz, twój tatuś też ma taki portfel z dokumentami, z pieniędzmi. Pradziadek nie wyrzucił portfela, bo miał w nim dużo pieniędzy i swoje dokumenty, choć złapany przez Niemców, byłby natychmiast zidentyfikowany w oparciu o te dokumenty. Ale i pieniądze, i dokumenty, mogły mu być potrzebne w dalszej drodze ucieczki.

Więc twój pradziadek najpierw długo się czołgał, a potem szedł kilka kilometrów przez las, aż doszedł do jakiejś wsi. Był środek nocy. Zastukał do pierwszego z brzegu domu. Nikt nie chciał mu

otworzyć. Szepcząc przez drzwi, przekonał jednak gospodarza, że jest polskim żołnierzem, który uciekł z niemieckiej niewoli i potrzebuje pomocy. Wreszcie drzwi się otwarły. Pradziadek poprosił gospodarza, żeby mu sprzedał spodnie, buty i sweter. Przydały się zachowane pieniądze. Zapłacił hojnie. Przebrał się, zostawiając swoje spodnie wojskowe, które tamten mężczyzna natychmiast spalił w piecu kuchennym.

Pradziadek dopytał się jeszcze tego człowieka o najbliższy kościół parafialny. Poszedł we wskazaną mu stronę. Dotarł pod plebanię o świcie. Przedstawił się księdzu proboszczowi, który przyjął go z wielką troskliwością i serdecznością. Pradziadek zaproponował temu księdzu kupno swego samochodu, który wciąż stał przecież w obozie jeniecki, za drutami – jeśli uda się go wydostać. Ksiądz przyjął propozycję. Ustalili jak to zrobią. Już zaczęli walczyć z Niemcami metodami konspiracyjnymi. Ksiądz dał pradiadkowi dokumenty, które powinny zmylić Niemców, a pradiadek pójdzie po swój samochód i wydostanie go z obozu jenieckiego. Ryzykowny plan.

Ksiądz dał więc pradiadkowi, napisany po niemiecku dokument, stwierdzający, że samochód, mercedes, numer rejestracyjny taki i taki, należy do niego, i że stał w miejscu, gdzie wojsko niemieckie zorganizowało obóz jeniecki, bo akurat tam zabrakło benzyny. To akurat było prawdą – bak mercedesa był pusty. Więc ksiądz prosi w swym liście władze obozu, aby wydały samochód

jego kierowcy, który nazywa się tak a tak (nie pamiętam jakie tam podano imię i nazwisko) i zaopatrzył pradziadka dodatkowo w sporządzony na prędcie akt chrztu tego niby – kierowcy, jako legitymację tożsamości.

Ksiądz dał mojemu ojcu, a twemu pradziadkowi, dwa konie ze swojej stajni, postronki i orczyki. Pobłogosławił pradziadka na drogę. Pradziadek zostawił księdzu swój portfel – teraz nie mógł go mieć przy sobie. Dał mu także adres swojej żony, z prośbą, aby ksiądz napisał do niej, na wypadek gdyby on sam nie wrócił z wielce ryzykownej wyprawy.

Pradziadek poszedł z końmi do obozu jenieckiego. Daleka droga. Przy bramie pokazał sporządzone przez księdza dokumenty dowódcy warty i wytłumaczył mu po niemiecku, dokładnie, ze szczegółami, tak, aby tamten zrozumiał swym, zapewne tępym umysłem, że przysłał go ksiądz proboszcz po swój samochód, który stoi tu od kilku dni, bo zabrakło benzyny, a potem wojsko niemieckie zorganizowało nagle w tym miejscu obóz jeniecki. Twój pradziadek mówił świetnie po niemiecku, bo urodził się i chodził do szkół pod zaborem Austriackim, a Austriacy mówią po niemiecku. O, i o tym, co to były zabory, też muszę ci, Alku, kiedyś opowiedzieć. Nie teraz. Teraz wracam do opowieści o twoim pradziadku.

Dowódcę warty przekonuje jego opowieść i okazane dokumenty.

Przywołuje wartownika i każe pradziadka wpuścić do obozu.

Pradziadek odszukuje samochód. Zaprzęga konie do przedniego zderzaka. Trzymając lejce w lewej ręce przez opuszczone okienko i prawą kontrolując kierownicę wyjeżdża na obozową drogę. Zbliża się to tej samej budki wartowniczej i tej samej bramy, którą wszedł. Stoi tam ten sam wartownik, który go wpuścił. Macha ręką i twój pradziadek wyjeżdża z obozu ciągnionym przez konie mercedesem! Udało się!

Pradziadek jedzie długo, polną drogą, ku kościołowi. Ksiądz otwiera mu stodołę. On wjeżdża tam, wciąż ciągniętym przez konie, samochodem. Drzwi stodoły zostają zamknięte.

Na plebanii ksiądz proboszcz wypłaca pradziadkowi umówioną sumę za samochód. Była znaczna – stanowiła podstawę życia rodziny przez pierwsze miesiące wojny. Ksiądz daje jeszcze pradziadkowi na dodatek dobre cywilne ubranie. Książeczka wojskowa wędruje do pieca kuchennego. Z plebanii ojciec wychodzi już jako cywil, doktor Juliusz Braun, adwokat. Ma przy sobie swoje stare, polskie dokumenty.

Z tymi dokumentami wrócił z wojny do domu. Nie tylko uciekł z niewoli, ale i wy dostał swój samochód.

Twój pradziadek, Alku, to był wspaniały, dzielny, zaradny

odważny człowiek.

Gdy, sam zemocjonowany, kończyłem opowiadać Alkowi o jego dzielnym pradziadku, zobaczyłem, że chłopiec już zasnął. To i dobrze. Po to snułem te opowieści.

Pomyślałem jednak, że może Alek zapamięta choć część tej historii. I kiedyś uświadomi sobie, że wzorem swego pradziadka, powinien szukać wyjścia z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji, nie poddawać się, a zwłaszcza nie godzić się na jakikolwiek rodzaj niewoli.

Zobacz też:

„Pamięć”. Wspomnienia Kazimierza Brauna.

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Boże Narodzenie w Mirogonowicach

„Bal w operze” Juliana Tuwima wystawiony przez Teatr Nasz w Chicago

Małgorzata Oman (*Chicago*)



Teatr Nasz, „Bal w operze” Juliana Tuwima, fot. Krzysztof Babiracki

Andrzej Krukowski, aktor, reżyser i dyrektor artystyczny Teatru Nasz, nie boi się szokować i nie cofa się przed mocnymi środkami wyrazu.

To myśl, która zdominowała moje wrażenia po obejrzeniu spektaklu „Bal w operze”, wystawionego po raz kolejny przez Teatr Nasz na scenie *Leela Art Center* w Des Plains, jednym z przedmieść Chicago, w pierwszy weekend maja.

Bo po zobaczeniu „Balu w operze” Tuwima w wykonaniu Teatru

Nasz, można wyjść lekko zaszokowanym lub przynajmniej zaskoczonym ilością i intensywnością scen seksu. To refleksja, do której skłoniły mnie nie tylko moje odczucia, ale i podsłuchana w kuluarach teatru wymiana zdań. A jednak osoby, których uwaga skupi się tylko na tym co poraziło ich poczucie przyzwoitości i dobrego smaku, przeoczą wiele innych obrazów, czy scenicznych rozwiązań, które weszły w skład tego spektaklu i doskonale dopełniły tekst Juliana Tuwima. Sceny te, równie intensywne, powodowały refleksję, wzdrygnięcie albo ucisk w gardle na przypomnienie kart historii, które były udziałem naszego narodu. Zresztą, intensywność spektaklu odzwierciedla intensywność tekstu.

Napisany w 1936 roku przez Juliana Tuwima poemat "Bał w Operze", wywołał mocne reakcje wśród jego odbiorców. Był tak kontrowersyjny, że w całości mógł ukazać się dopiero w 1982 roku. Tekst szokował językiem, skrajnymi emocjami oraz silną antyrządową wymową.

Dziś, mało osób zdaje sobie sprawę z tego, że to właśnie Tuwim zaczął pisać na tematy, które choć obecnie wydają nam się normalne, wtedy daleko wykraczały poza granice przyzwoitości – seks, ciało, fizjologia, czy banalne sytuacje z codziennego życia, kiedyś nie były typowe dla poezji. Tuwim był w tym względzie zdecydowanie nowatorem. Silne emocje zawarte w poemacie to ironia, sarkazm, gorycz, jak również sardoniczny śmiech, który

ukrywa rozpacz. Uczucia te, obnażają odrazę i obrzydzenie jakie budziła w poecie ówczesna mu rzeczywistość. Rosnąca dyktatura sanacji, faszyzacja życia oraz wzmagające się ataki antysemickie, nie pozostawiały Tuwimowi wątpliwości co do kierunku w jakim zmierzał świat, który go otaczał. Niezwykle wrażliwy poeta, który czuł się i Żydem i Polakiem, bardzo dotkliwie odczuwał ataki na swoją osobę, a były one często bezlitosne. Jak Teatr Nasz poradzi sobie z tym tekstem, co z nim zrobią, jak “wygrają” te wszystkie elementy – myślałam jadąc na spektakl.

Przy wejściu na salę, dostaję dyskretnie podany program, zwinięty w rulonik, związany sznurkiem i opatrzony napisem “Ściśle tajne”. Poddaję się atmosferze, widzę okna kamienic, szyldy ogłaszające usługi – golenie, strzyżenie, przewieszane na sznurku, suszące się czyjeś pranie. Jestem gotowa, ale spektakl nie zaczyna się od razu. Rośnie oczekiwanie podsycane pojawiającą się co chwila kobietą w czarnym, skórzanym kostiumie, która władczym gestem strzela z bata, jakim tresuje się dzikie zwierzęta. Nie ma wątpliwości, jesteśmy pod nadzorem.



Teatr Nasz, „Bal w operze” Juliana Tuwima, fot. Krzysztof Babiracki



Teatr Nasz, „Bal w operze” Juliana Tuwima, fot. Krzysztof Babiracki

Jedną z pierwszych scen zbiorowych otwierających spektakl, które zostają w pamięci, tworzy upozowana na wzór „Ostatniej Wieczerzy” Leonarda da Vinci grupa – tyle, że w samym środku, miejsce Chrystusa zajmuje uzurpator, kabotyn, ktoś komu się tylko wydaje się że jest bogiem. To znak czasów, to wszystko co pozostało z chrześcijańskich wartości naszej kultury.

Wreszcie zaczyna się bal, bal w operze...

Podniecenie, ekscytacja, rozechocenie, inwigilacja, seks, rozedrganie, chaos, wibracja, seks, antysemityzm, inwigilacja, pieniądze, nierząd, inwigilacja, ideologia, agitacja, faszyzm, komunizm, przemoc, destrukcja.

Czytany jako poemat, utwór Tuwima ma własne tętno, rytm, dynamikę. Ten rytm daje wrażenie szaleńczej wibracji, wrzenia. Reżyser jednak rezygnuje z rytmu narzuconego tekstem na korzyść obrazów.

Podekscytowana grupa dyskutuje o przygotowaniach do balu, wystrojone damy, nastroszone kokoty, trzęsące się z ekscytacji dziwki, trwa podniecenie, orkiestra gra, zjeżdżają się goście i nie ustaje ciągła inwigilacja. Po chwili obserwujemy pędzącą maszynę historii. Z czasem, sceny targowiska próżności zastępują sceny z życia szarych ludzi.

Przejście od jednego do drugiego obrazu oraz przebieranie aktorów odbywa się przy odsłoniętej kurtynie na scenie, tu nie ma nic do ukrycia, tu nie ma na co czekać, historia toczy się na naszych oczach.

Tuwim przeczuwał nadchodzącą katastrofę, nie mógł jednak wiedzieć, pisząc poemat w 1936 roku, jakie dokładnie będzie jej

oblicze i jaki będzie jej wymiar. Reżyser spektaklu wie, więc w swych obrazach posuwa się dalej.

Podium na środku sceny, które posłużyło na początku za stół do ostatniej wieczerzy, zamienia się w platformę pociągu wiozącego zmęczonych ludzi. Potem stanie się podwyższeniem, na którym wykonywane będą egzekucje, za którymi stoją dwaj najwięksi oprawcy XX wieku. Tych, którzy nie tak dawno zaaferowani byli balem lub codziennymi sprawami, widzimy teraz gotujących się na śmierć. Każdy reaguje w tym momencie inaczej. Jedni się modlą, drudzy całują zdjęcia bliskich, jeszcze inni idą spokojni i pogodzeni na spotkanie ze swoim losem. Nieco później platforma stanie się trybuną, z której przemówią dyktatorzy i skąd wykrzykiwane będą nowe hasła. Na koniec, podium będzie katafalkiem, na którym ułoży się "tłusty jaszczur", uzurpator, kabotyn.

Kilkakrotnie jeszcze w czasie spektaklu, my, widzowie, jesteśmy wciągnięci do akcji. Chwytny rozrzucone ulotki, jesteśmy zaagitowani do wspólnego chóralnego krzyczenia – IDEOLO, IDEOLO.

W końcu, po intensywnym napięciu, następuje przesilenie. To scena w białych kaftanach z domu wariatów i różne reakcje tych, którzy przeszli przez piekło. Zauważalne jest też prawdziwe fizyczne zmęczenie aktorów, którzy dali z siebie wszystko.



Teatr Nasz, „Bal w operze” Juliana Tuwima, fot. Krzysztof Babiracki

Sztukę zamknie opadająca czerwona flaga. Czerwona, ale w połowie zamalowana na białą. Możemy zauważyć pociągnięcia pędzla. Na fladze napis:

KOCHANEJ OJCZYŹNIE

100 LAT

RODACY

Napięcie puszcza, zostaje nagromadzenie wrażeń, obrazów i odczuć, które trzeba będzie sobie poukładać.

Po zakończeniu sztuki udało mi się na chwilę porozmawiać z reżyserem, Andrzejem Krukowskim. – *Aby stworzyć spektakl musisz być otwarty, tu nie można nic zakładać z góry, bo spektakl stopniowo rodzi się sam* – mówi Krukowski.

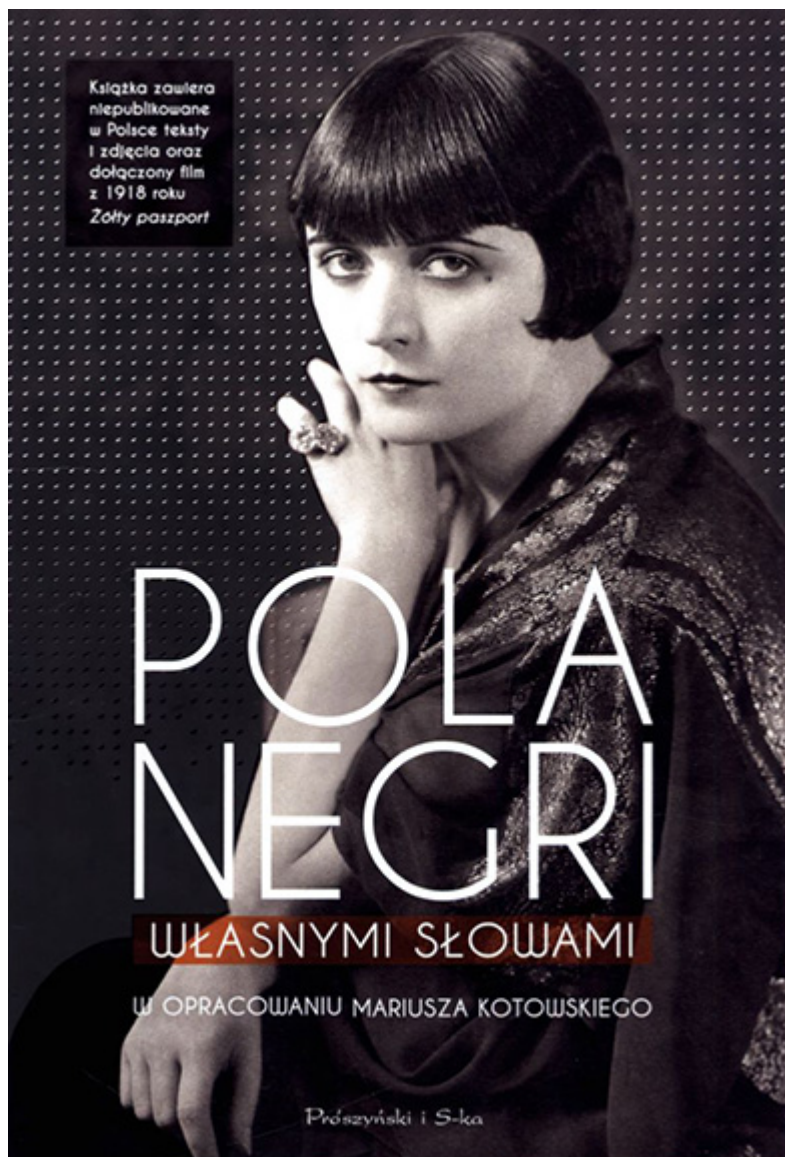
Kiedy gratuluję mu pomysłowości, odpowiada, – *Zazwyczaj pomysły przychodzą do mnie nad ranem. Przez cały dzień obcowania z tekstem, przetwarzam go w sobie i nad ranem jakoś to ze mnie emanuje.* Po czym dodaje skromnie, – *To wszystko to moja grupa, ja tylko się tu przemykam, ja się ogromnie dużo od nich uczę.* Na pytanie jak udało mu się stworzyć tak świetny zespół, reżyser odpowiada, – *Ufamy sobie, to podstawa aby się przed sobą otworzyć. Wtedy można dać z siebie wszystko.*

To, że zespół daje z siebie wszystko od pierwszej do ostatniej odsłony, nie ma dla mnie wątpliwości, Energia, którą czuje się ze sceny elektryzuje.

Zobacz też:

“Kwartet dla czterech aktorów” wystawiony przez TEATR
NASZ z Chicago

Pola Negri i Charlie Chaplin



Pola Negri, „Własnymi słowami”, wyd. Prószyński i S-ka, 2014 r, oprac. Mariusz Kotowski, fragmenty.

Na książkę składają się w większości niepublikowane w Polsce – autobiograficzne artykuły prasowe, eseje i opowiadania, które obok autobiografii zalicza się, do dorobku literackiego Poli Negri. Książka jest wzbogacona szczegółowym kalendarium życia aktorki i wyjątkową kolekcją zdjęć. Całość opracował i przygotował badacz życia i twórczości Poli Negri – Mariusz Kotowski.

*

Charlego Chaplina poznałam już w pierwszy wieczór jego pobytu w Berlinie. Przedstawiono mi go podczas przyjęcia, w którym wraz z przyjaciółmi — Albertem Kaufmanem i jego żoną — uczestniczyłam tego wieczoru w modnej berlińskiej restauracji o nazwie Palais Heinroth. Mimo że nazwisko Chaplin obięło mi się wcześniej o uszy, nie zdawałam sobie do końca sprawy z pozycji tego aktora w świecie kinematografii, nie widziałam też żadnego z jego filmów. W czasie wojny w Berlinie nie wyświetlano amerykańskich produkcji, Chaplin nie był więc w Niemczech szczególnie znany, podobnie jak inne gwiazdy zza oceanu. Ale jako że podsumował on moje osiągnięcia zawodowe długą listą komplementów, nie chcąc pozostawać dłużna, odparłam, że uważam go za jednego z największych artystów na świecie, w duchu gratulując sobie sprytu i dyplomacji. Dopiero później się dowiedziałam, że i Charlie skorzystał z tych samych przymiotów, bo kiedy mnie poznał, nie widział ani jednego z moich filmów!

Pan Chaplin jest obdarzony czarującą osobowością. Cechują go chłopięcy urok i entuzjazm, posiada też cudowny dar prowadzenia konwersacji. Spotkaliśmy się na kilku przyjęciach i miałam przyjemność zobaczyć, jak wciela się w role kilku różnych osób. Nigdy tak naprawdę nie przestaje grać, nigdy nie rezygnuje z okazji, by oddać się naśladownictwu lub parodii.

Nasza znajomość w Berlinie miała charakter dość luźny i daleko jej było do romantyzmu. Podziwiałam Chaplina jako osobowość i artystę, muszę jednak przyznać, że wtedy każdy poznany Amerykanin miał dla mnie nieodparty urok. Powodem ku temu był przede wszystkim ich pełen szacunku stosunek do kobiet, jakże odmienny od reprezentowanego przez Europejczyków. Amerykańscy dżentelmeni traktują każdą kobietę niczym królową. Jakże miałabym ich nie lubić?

Po czasie dowiedziałam się, że sposób, w jaki powitałam sławnego pana Chaplina, rozbawił amerykańską prasę. Mianowicie zużyłam na niego całą wyszukaną angielszczyznę, jaką wówczas dysponowałam, zwracając się do niego per „mój mały jazzboy Charlie”. On zaś, pragnąc sprawić mi komplement po niemiecku, zapytał pana Kaufmana, jak wyznać: „Uwielbiam cię”, po czym zwrócił się do mnie słowami: „Przypominasz mi ser”. Jego impertynencja wprawiła mnie w osłupienie i oburzenie... Charliego natomiast w jeszcze większe zdumienie wpędziła moja reakcja na jego szczery komplement. Dopiero na widok rozbawienia, jakie zapanowało wśród naszych wspólnych znajomych, oboje zrozumieliśmy, że padliśmy ofiarą żartu – pan Kaufman celowo wprowadził biednego Charliego w błąd, podpowiadając mu nie te słowa!

Wypadki te zdarzyły się w czasie, kiedy ze strony niemieckiej prasy płynęła pod moim adresem lawina krytycznych słów. Moje

polskie sympatie były oczywiście powszechnie znane, a w powojennych Niemczech Polacy byli drugą – zaraz po Francuzach – najmniej lubianą nacją. Na wieść o tym, że finansowo wspieram polskie organizacje, niemiecka prasa zaczęła mnie otwarcie atakować, ogłaszając, że zarabiam pieniądze w Niemczech, aby wspierać niemieckiego wroga – Polskę. Na próżno starałam się tłumaczyć, że środkami tymi wspierałam nie polską armię, tylko organizacje charytatywne, którym pomagałam na równi z niemieckimi. Zewsząd otaczał mnie brak zrozumienia, co sprawiało mi ogromną przykrość, bo niezwykle ceniłam sobie wsparcie ze strony niemieckiej prasy. Jednocześnie uważałam jednak, że mam prawo wydawać swoje pieniądze w każdy sposób, jaki uznaję za stosowny.

Być może wykazałam się w całej tej sytuacji brakiem taktu, jednak bez względu na wszystko nie mogłam dłużej znieść wrogości, z jaką spotykałam się w Berlinie, przeniosłam się więc do kamienicy, którą zakupiłam w Bydgoszczy. Tu zgotowano mi przyjęcie tak serdeczne, że w mig zapomniałam o wszystkich zmartwieniach. Największe datki kierowałam wszak właśnie do Bydgoszczy, gdzie zorganizowałam sierociniec dla polskich dzieci.

Pierwsze pieniądze, jakie zarobiłam po podpisaniu kontraktu w Ameryce, przeznaczyłam na opiekę nad dwustoma sierotami wojennymi. Był to naprawdę niewielki gest, zważywszy na ogrom

pomocy, jaką Amerykanie przekazali moim pokrzywdzonym przez los rodakom. Sierociniec na terenie mojej posiadłości wciąż istnieje, a pieczę nad nim sprawuje moja matka.



Pola Negri i Charlie Chaplin, Berlin, 1922 r., fot. wikimedia commons
(...)

„Będę na ciebie czekał w Hollywood”, obiecał Charlie Chaplin swoim przedziwnie ciepłym głosem. Ja zaś mogłam mieć tylko

nadzieję, że los, który splótł nasze ścieżki, ulituje się nade mną i nie zerwie zaklęcia, jakiemu oboje ulegliśmy, zanim uda mi się tam dotrzeć.

Mój kontrakt z wytwórnią Paramount wyraźnie stwierdzał, że w Hollywood znajdę się dopiero za sześć miesięcy, obiecałam więc sobie solennie, że póki co zrobię wszystko, aby nie myśleć o Charliem. W końcu tyle rzeczy mogło się wydarzyć w życiu dwojga ludzi, których dzieli nie tylko ocean, lecz także szerokość kontynentu — tłumaczyłam sobie.

I tak się stało. Charlie wrócił do domu. Nie miałam z nim bezpośredniego kontaktu, słyszałam jednak, że wraz z Mary Pickford, Douglasem Fairbanksem i D.W. Griffithem stworzył wytwórnię United Artists, dla której intensywnie pracował.

(...)

Moje życie stało się snem, z którego nie chciałam się obudzić. Przydzielono mi sekretarkę i kilka służących. Zamieszkałam w niesamowicie luksusowym bungalowie na terenie sławnego hotelu Ambassador.

Gdy pokojówki przygotowywały dla mnie kąpiel i rozpakowywały moje dwadzieścia siedem kufrów, pojawiła się sekretarka z informacją, że wieczorem mam wystąpić w kostiumie Kleopatry

w Hollywood Bowl przed publicznością liczącą dwadzieścia tysięcy osób! Gwiazdy zgromadziły się tej nocy, by w widowisku charytatywnym wcielić się w role sławnych postaci historycznych. Po paradzie miałam wziąć udział w kolacji w Cocoanut Grove wydanej na moją cześć przez George'a Fitzmaurice'a, który miał być reżyserem „Bella Donny” oraz jego żonę Ouidę Bergere, scenarzystkę i jedną z najznamienitszych gospodyń w Hollywood. Najwyraźniej całe moje życie towarzyskie zostało już zaplanowane.



Pola Negri z reżyserem George'em Fitzmaurice'em podczas kręcenia filmu „Bella Donna”, Los Angeles 1923, fot. ze zbiorów Mariusza Kotowskiego, stanowi część ikonograficzną książki „Własnymi słowami”

Ale ja chciałam wiedzieć tylko jedno. „Powiedz mi, czy Charlie Chaplin pojawi się dziś na paradzie w Hollywood Bowl?”, przerwałam rozgadanej dziewczynie.

Jego nazwisko padło wtedy z moich ust po raz pierwszy i zauważyłam, że na jego dźwięk oczy mojej sekretarki rozbłysły przedziwnym blaskiem. Widziałam już ten błysk w oczach innych kobiet, pojawiał się on jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, kiedy ktoś wymówił słowo „Chaplin”.

„Charlie Chaplin nie ma w zwyczaju pojawiać się publicznie”, odpowiedziała sekretarka. „A czy jest zaproszony na kolację, jaką wydają dla mnie państwo Fitzmaurice?”, chciałam wiedzieć. „Ależ skąd! Wiadomo przecież, że Chaplin nigdy nie bierze udziału w przyjęciach ani w żadnych spotkaniach towarzyskich”. Westchnęłam tylko, bo znów nie usłyszałam odpowiedzi, której pragnęłam.

(...)

W świetle kalifornijskiego słońca wszystko w Hollywood wydawało mi się jakby nierzeczywiste. Przemierzając szeroki

bulwar w przysłanej przez studio limuzynie z szoferem, przyglądałam się migającym po obu stronach strzelistym palmom, mijając bary mleczne, gigantyczne reklamy filmów i stoiska ze świeżym sokiem pomarańczowym. Pogrążona w lekkim oszołomieniu, zastanawiałam się, co przyniesie wieczór.

Odpowiedź otrzymałam szybciej, niż się spodziewałam. Nagle bowiem usłyszałam huk i poczułam gwałtowny wstrząs. Samochód, którym jechałam, zderzył się z innym!

Kiedy szofer opanował pojazd i zatrzymał się na poboczu, zszokowana, usiłowałam otworzyć drzwi, aby wydostać się na zewnątrz. Zanim jednak zdążyłam sięgnąć do klamki, drzwi rozwarły się na całą szerokość i usłyszałam męski, dziwnie znajomy głos: „Czy nic się pani nie stało?”.

„Charlie? Charlie Chaplin!”, krzyknęłam. „Polu, to ty?”, zapytał, wspinając się na siedzenie obok mnie. „To naprawdę ty! Czy nic ci się nie stało?” „Nie”. „Dzięki Bogu! Słyszałem, że przyjechałaś, i miałem nadzieję, że wkrótce się spotkamy!” Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. „Czekałeś? Tak jak mówiłeś? Ależ oczywiście... naturalnie, że wiedziałeś”. Ta sytuacja była tak nierealna, że czułam się tak, jakbym śniła na jawie.

Samochodem Charliego dojechaliśmy do Hollywood Bowl. Tam Chaplin, stojąc z boku, obejrzał mój pierwszy hollywoodzki

występ przed tysiącami zgromadzonych.

Z widowni wciąż dobiegały wiwaty, kiedy Charlie złapał mnie za rękę. Zanim szefowie studia zdążyli podejść, by przywitać się ze mną, wyszeptał mi do ucha: „Wymknijmy się stąd”. „Ale ja muszę jechać do Cocoanut Grove”, zaproponowałam. „Wiem. Zabiorę cię tam. Najpierw muszę jednak z tobą porozmawiać”.

Dzięki jego doskonałej umiejętności unikania tłumów wkrótce znaleźliśmy się w samochodzie Charliego. Jadąc wijącą się wśród wzgórz drogą, patrzyłam na ogromny kalifornijski księżyc i próbowałam w myślach nazwać emocje, które wypełniały w tej magicznej chwili moje serce. Byłam jak zahipnotyzowana przez tego mężczyznę o melodyjnym głosie, którego ramię delikatnie dotykało mojego – mimo że był on całkowitym przeciwieństwem typu mężczyzny, który mnie zwykle pociągał.

Za atrakcyjnych zawsze uważałam mężczyzn wysokich i barczystych. Charlie był niski, drobnej budowy – a jednak czułam, że poruszył we mnie jakąś wyjątkową strunę. Wydawało się, że każda spędzona ze mną chwila jest niczym pokarm dla jego wygłodzonego serca.

Charlie nie przestawał mówić. Dowiedziałam się, że ktoś zranił go głęboko i że próbował teraz znaleźć lek na swój ból. „Ty jesteś tym lekiem. Wiedziałem to od chwili, kiedy ujrzałem cię po raz

pierwszy”, wyznał, a ja poczułam, że moja obecność w jego życiu jest nieodzowna. Pławiłam się w magicznym cieple jego uwielbienia, gdy jechaliśmy przed siebie, aż w końcu się zorientowałam, że zupełnie zapomniałam o moim przyjęciu!

„Zawracaj!”, krzyknęłam nagle, wracając do rzeczywistości. „Już dawno powinnam być na przyjęciu!”. Ale mój towarzysz upierał się przy swoim: „Dziś wieczorem chcę cię tylko dla siebie. Nie chcę dzielić się tobą z całym Hollywood!”. Gdy byłam nieprzejednana, spojrzał na mnie pełnym bólu wzrokiem, jakby chciał zapytać: „Nie wystarczy ci moje uwielbienie? Naprawdę chcesz wrócić do świata, chociaż pokazałem ci raj?”.

Przez moment zaczęłam się zastanawiać, czy słusznie robię, starając się, by mój pobyt w Hollywood zaowocował czymś więcej niż tylko miłością tego mężczyzny. Zdążyłam już zdać sobie sprawę z tego, że Charlie jest we mnie zakochany, a świadomość, że jakaś inna osoba czy nawet grupa osób mogła być dla mnie interesująca, sprawiała mu przykrość i wpędzała w podły nastrój. Cała ta sytuacja była dla mnie tak samo nowa i nierealna jak samo Hollywood.

Do Charliego nie przemawiały jednak żadne argumenty. Powołałam się na to, że czeka na mnie wiele osób, że na tym polega dotrzymywanie zobowiązań, że studio wymaga, bym postępowała zgodnie z przyjętym dla mnie planem. Ale dla

Charliego żaden z tych powodów nie był dostatecznie ważny.

„Przykro mi, że tak to postrzegasz” – tak brzmiała jego odpowiedź na każdy z moich argumentów. W jego głosie słychać było autentyczny ból; dalej jechał przed siebie, lecz z każdą milą zwalniał.

Nagle na boczne stopnie samochodu Charliego naskoczyło z pobocza dwóch mężczyzn. Jeden z nich wycelował w niego pistolet, a drugi sięgnął ręką do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce, wyłączając silnik. Pojazd się zatrzymał. Trzymając tym razem mnie na muszce, napastnicy wyciągnęli Charliego z samochodu i zaczęli obszukiwać. „Gdzie masz pieniądze?”, rzucił jeden z bandytów. „Nie mam przy sobie żadnych pieniędzy”, odpowiedział Charlie. „Przecież ty jesteś ten sławny Chaplin! Podróżujesz w towarzystwie damy i nie masz przy sobie żadnych pieniędzy? Dalej, załatwmy go”, warknął drugi mężczyzna. Widząc, jak uniesiona lufa pistoletu zbliża się do głowy Charliego, krzyknęłam przeraźliwie. Niewiele myśląc, wyciągnęłam przed siebie moją wieczorową torebkę, do której służąca włożyła zielone banknoty w kwocie pięćdziesięciu dolarów.

Podziałało.

Kiedy napastnicy zniknęli ze swoim łupem, Charlie zapewnił

mnie o swojej dozgonnej wdzięczności i stwierdził, że to zdarzenie jeszcze bardziej zbliżyło nas do siebie. Okazało się, że rzadko nosił przy sobie gotówkę, wolał korzystać z czeków. Wyjaśnił mi ten osobliwy zwyczaj, zawracając samochód w stronę miasta. Bez dalszych dyskusji zawiózł mnie prosto do Cocoanut Grove.



Pola Negri i Charlie Chaplin, fotografia prasowa 1923 r., fot. ze zbiorów Mariusza Kotowskiego

Siedząc obok niego, cały czas miałam poczucie, że znajduję się w

towarzystwie rozczarowanego, aczkolwiek bezgranicznie wdzięcznego mi małego chłopca. Kiedy weszliśmy razem do ogromnej sali jadalnej, z zażenowaniem zdałam sobie sprawę z tego, że Charlie nie ma zamiaru przeprosić za nasze spóźnienie ani tym bardziej wyjaśnić jego przyczyn. Zakłopotana całą sytuacją, odnalazłam wzrokiem czekające na mnie puste miejsce za ogromnym stołem i skierowałam się w tamtym kierunku, czując na sobie setki zaciekawionych oczu.

George Fitzmaurice milczał z wyraźną dezaprobatą. Charlie chyba wyczuł, że potrzebuję, by ktoś dodał mi otuchy, bo usiadł obok i zwrócił się do mnie głosem cieplejszym niż dotychczas: „Jesteś jedyną kobietą na całym świecie, dla której gotów jestem tu zostać. Nigdy nie bywam na salonach. Dziś wieczorem wyszedłem z domu tylko po to, by cię odnaleźć”. Słyszając te słowa, poczułam, jak serce łomocze mi w piersi. Jego pochlebstwa działały na mnie niczym najgorętsze pocałunki.

„Co powie pani na to, żebyśmy tanecznym krokiem rozpoczęli naszą współpracę nad <Bella Donna>?’, zapytał George Fitzmaurice, stając nagle nade mną.

Już zaczęłam podnosić się z krzesła, by udać się z nim na parkiet, lecz Charlie ścisnął mnie za ramię i wyszeptał: „Gdybyś wiedziała, jak mnie ranisz, nie robiłabyś tego”.

Wyraz bólu w jego oczach sprawił, że osunęłam się z powrotem na krzesło i nie przyjąłam propozycji mojego gospodarza. Przez moment zatrzymałam wzrok na jego zdumionej twarzy, zaraz jednak zwróciłam oczy z powrotem na Charliego.

„Nie mogę się tobą dzielić”, powiedział krótko. Zadrżałam. Jakaś siła, silniejsza niż wszystko, co kiedykolwiek czułam, przejęła nade mną panowanie. Nie byłam nawet w stanie z nim dyskutować. „Ja nie tańczę”, ciągnął Charlie. „Dlaczego więc ty miałabyś to robić?”

Nagle ktoś dotknął mojego ramienia. Podniosłam wzrok i zobaczyłam jednego z najpopularniejszych aktorów w Hollywood. „Pani pozwoli, że się przedstawię: Rod La Rocque”, powiedział. „Czy zechce pani ze mną zatańczyć?” „Przykro mi, ale nie...” La Rocque zawahał się przez chwilę, patrząc mi uporczywie w oczy, jak gdyby wiedział, że jest świadkiem nie do końca zrozumiałej sytuacji. „Przykro ci?”, zapytał Chaplin. Jego twarz płonęła z zazdrości.

Od razu pożałowałam swojej szczerości, aczkolwiek naprawdę było mi przykro. Żałowałam, że nie potrafię zdobyć się na to, aby postąpić wbrew woli Charliego. Przecież tak bardzo chciałam zatańczyć! Szczególnie z takim wysokim, barczystym mężczyzną jak Rod. Iskra, jaką dostrzegłam w jego oczach, była dla mnie pokusą niemal nie do odparcia. Wkrótce miałam zrozumieć, że to

właśnie wysocy, przystojni mężczyźni będą wzbudzać w Charliem największą zazdrość.

Odtrącony Rod zniknął tak szybko, jak się pojawił, a mnie samą ogarnęło zdumienie na myśl o tym, jak dałam się zdominować Charliemu. Wszyscy zdawali się świetnie bawić, a ja – będąca zwykle w centrum rozrywki – siedziałam nieśmiało z boku, trzymając Charliego za rękę.

Co się ze mną dzieje?, zastanawiałam się, oszołomiona. Przecież nigdy wcześniej się tak nie zachowywałam.

Palce Charliego zacisnęły się na mojej dłoni. Wyraz jego twarzy można by określić mianem błogostanu. „Chciałbym uczynić cię naprawdę szczęśliwą”, powiedział. Już wtedy zdawał sobie chyba sprawę z tego, że rzucił na mnie urok. Kiedy tej nocy odwiózł mnie do mojego bungalowu, nie chciał wejść do środka. Zamiast tego, niczym mały chłopczyk, usiadł na schodach przed drzwiami.

Usiadłam więc koło niego i wkrótce cała uraza, jaką czułam na wspomnienie przyjęcia, zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Charlie uraczył mnie bowiem smutną historią swojego dzieciństwa, które spędził w londyńskiej dzielnicy Whitechapel.

Opowiadał o niezaspokojonym głodzie, który towarzyszył mu od najwcześniejszych lat, o braku ubrań czy nocnego okrycia, które uchroniłoby go przed wszechobecnym zimnem. Bardzo wcześnie zaczął pracować, by zarobić choć parę groszy, imając się prac fizycznych, a później występując w wodewilach. Wieloletnia walka o przetrwanie była torturą, która odcisnęła głębokie piętno w jego sercu i pamięci.

Pochłonięta jego smutną opowieścią, zupełnie zapomniałam o wszystkich moich planach na następny dzień, a przecież miałam być świeża, wypoczęta i gotowa do pracy. Wciąż w przebraniu Kleopatry, siedziałam z Charliem na schodach przed domem aż do wschodu słońca. Powieki zapuchły mi od płaczu nad jego smutnym losem, byłam wyczerpana psychicznie i fizycznie.

„Zjedzmy dziś razem kolację”, zaproponował na odchodnym Charlie, a ja obiecałam, że będę na niego czekać. Nie potrafiłam zdobyć się na szczerłość i powiedzieć mu, że przez następny miesiąc studio zarezerwowało już każdą minutę mojego czasu.

Odurzona i wyczerpana, przygotowałam się do snu, czując, że opadam z sił. Jedyne, co trzymało mnie przy życiu, to nadzieja na chociaż kilka godzin snu. Jednak kiedy tylko moja głowa spoczęła na poduszce, za oknem mojej sypialni zabrzmiała głośna muzyka.

To Charlie wysłał pod moje okno hawajską orkiestrę, aby

wygrywała dla mnie serenady! Nie zważając na moje prośby i groźby, muzycy nieustrudzenie przygrywali pod moim oknem do późnych godzin porannych.

(...)

Wkrótce Hollywood okrzyknęło mnie zarozumiałą snobką. Często nie pojawiałam się na umówionych spotkaniach, a kiedy już zdarzyło mi się gdzieś zjawić, to najczęściej z ogromnym spóźnieniem. Z czasem w ogóle przestałam przyjmować zaproszenia. Trudno się dziwić społecznej ocenie mojej osoby.

Prawda była natomiast taka, że Charlie absorbował każdą minutę mojego wolnego czasu – i nie tylko. Wszelkie polecenia wydawane mi przez studio miał za nic. Nigdy nie chciał towarzyszyć mi na przyjęciach, na których miałam obowiązek się pojawić, a kiedy próbowałam pójść na nie sama, przyjeżdżał do mojego domu z pretensjami, wywołując wielogodzinne dyskusje. Nawet jeśli udało mi się w końcu gdzieś dotrzeć, zwykle pojawiałam się o wiele za późno i w stanie całkowitego rozbitcia emocjonalnego.

Jedynymi osobami, które odwiedzały mnie w moim nowym domu, były Mabel Normand i Kay Williams, które przyjeżdżały na popołudniową herbatę. Często starały się przekonać mnie, bym pogodziła się ze stylem życia, jakiego, jak wiedziały, Charlie

Chaplin wymagał od każdej dziewczyny, z którą kiedykolwiek był związany.

Podczas jednej z nocy spędzonych w domu Charliego w górach oznajmiłam mu: „Wkrótce rozpocznę pracę nad moim nowym filmem. Zanim to jednak nastąpi, chciałabym wyprawić w moim nowym domu przyjęcie. Odbędzie się ono w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia”. Charlie nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią. „Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale nie wezmę w nim udziału. Będę wtedy zajęty pracą”. Jego słowa wprowadziły mnie w zdumienie. „Ależ co ty wygadujesz?”, zawołałam. „Kto pracuje w noc Bożego Narodzenia! Oczywiście, że przyjdiesz na moje przyjęcie! W końcu wyprawiam je specjalnie dla ciebie!”

Na te słowa Charlie uśmiechnął się radośnie, stwierdziłam więc, że nic już nie stanie na przeszkodzie moim planom. Wybrałam miejsce na ogromną choinkę i zadbałam o prezenty dla wszystkich zaproszonych. Chciałam urządzić najwspanialsze, najbardziej kolorowe przyjęcie, jakie widziało Hollywood. Udało mi się zapoczątkować nowy trend w modzie, teraz więc chciałam pokazać miejscowym, że jako gospodyni gwiazdkowego przyjęcia również mam do zaoferowania coś nowego.



Pola Negri ubiera choinkę w ogrodzie swojego domu w Beverly Hills, 1925 r., fot. ze zbiorów Mariusza Kotowskiego, stanowi część ikonograficzną książki „Własnymi słowami”

Podczas gdy mnie bez reszty pochłoneło zakupowe szaleństwo, Charlie pracował nad swoim filmem i ani się obejrzeliśmy, jak nadeszły święta.

Przygotowania do wieczornej gali rozpoczęłam wczesnym popołudniem. O dziewiętnastej trzydzieści w uszytej ze złotej lamy sukni o niezwykle egzotycznym kroju witałam gości

przybyłych na powitalne koktajle. Kolację podano punktualnie o dwudziestej pierwszej i do tego czasu w moim domu zebrali się wszyscy zaproszeni goście. Wszyscy, z wyjątkiem Charliego. Nie miałam od niego nawet słowa wiadomości. Kilukrotnie przepraszałam zgromadzone w mojej jadalni towarzystwo, aby oddalić się i wykonać telefon do coraz to nowego miejsca, w którym myślałam, że może przebywać.

Nieobecność Charliego całkowicie zepsuła mi humor tego wieczoru. Dopiero pół godziny przed północą pojawił się służący i oznajmił: „Pan Chaplin przybył i oczekuje pani w bibliotece na górze”.

Natychmiast zapominając o rozczarowaniu, wbiegłam na piętro, aby się z nim przywitać, przekonana, że zatrzymało go coś niezwykle ważnego.

„Witaj, moja droga”, radośnie przywitał mnie Charlie, zamykając za mną drzwi do biblioteki. „Mam dla ciebie prezent”. Nie mogłam nie zauważyć jego przebiegłego uśmiechu. „Jak mogłeś mnie tak rozczarować!”, wybuchnęłam gniewem, ale on wyglądał tak, jakby moje słowa do niego nie dotarły. „Kochanie, oto twój pierścionek zaręczynowy. Nie jesteś ciekawa, jak wygląda?” Bez słowa otworzyłam aksamitne pudełeczko, które położył na mojej otwartej dłoni. Na satynowej poduszce spoczywał duży błękitno-biały brylant. „Nieoprawiony” – powiedział Charlie. „Mam

nadzieję, że ci to nie przeszkadza? Nie miałem czasu go oprawić”.

Przeszkadza? Jakże miałam wyrazić słowami to, co działo się w moim sercu? Przez cały wieczór nie czułam nic poza upokorzeniem. A teraz on pojawia się tutaj z pierścieniem zaręczynowym, który tak naprawdę nie jest nawet pierścieniem. Bo nie miał czasu! „Cały dzień spędziłem, pracując nad planami domu, który dla nas wybuduję”, kontynuował Charlie. „Będziemy mieć basen, kort tenisowy, wszystko, czego zapragniesz!”

„Jak możesz oczekiwać, że ci zaufam czy choćby uwierzę w to, co mówisz? Przecież nie znalazłeś nawet czasu, żeby zjeść ze mną świąteczną kolację!”, krzyczałam wzburzona. Ale błagalny ton Charliego znów trącił czułą strunę w moim sercu: „Polu, błagam cię, pozbądź się tych ludzi, żebyśmy mogli razem spędzić ten bożonarodzeniowy wieczór”. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że prawdopodobnie przez cały dzień nie miał nic w ustach. Pewnie nie miał nawet czasu, żeby zdać sobie sprawę z tego, że jest głodny.

Zgodziłam się więc. Ostatecznie czy to, że zamiast pierścionka przyniósł mi nieoprawiony brylant, naprawdę miało takie znaczenie? Dlaczego wywołało u mnie złość? I co właściwie zamierzałam zrobić? Czy byłam skłonna poślubić Charliego?

Kiedy wróciłam do salonu, goście szykowali się już do wyjścia. Przyjęcie dobiegło końca, jednak jeszcze długo cała ta sytuacja będzie tkwiła zadra w moim sercu, bo Charlie nigdy nie dopilnuje, aby oddać mój zaręczynowy brylant do oprawienia.

(...)

Kiedy rozpoczęłam pracę nad „Bella Donna”, sytuacja uległa pogorszeniu. Okazało się, że Charlie nigdy nie chce rozmawiać ze mną o mojej pracy, zawsze zmieniał temat na film, który to on kręcił w danym momencie. W tamtym czasie reżyserował Paryżankę, a ponieważ znałam Paryż jak własną kieszeń, mogłam służyć mu wieloma cennymi radami.

Zdarzały się tygodnie, kiedy więcej czasu spędzałam w studio Charliego niż moim własnym. Pracę nad moim filmem wykonywałam rutynowo, jednak w głębi mojej artystycznej duszy zdawałam sobie sprawę, że nie poświęcam własnej pracy tyle uwagi, ile powinnam. Zaczęłam się tym zadręczać, jednak kiedy próbowałam podzielić się moim niepokojem z Charliem, on odpowiadał mi niezmiennie tym samym irytującym pytaniem: „Czyż przebywanie ze mną nie sprawia ci radości?”.

Kiedy jeden z najbardziej znanych pisarzy w Hollywood Rupert Hughes wraz z żoną zaprosili nas do swojego domu na kolację, w moim sercu pojawiła się nadzieja, że sprawy przybiorą lepszy

obrót. Kolacja miała zostać wydana w sylwestrowy wieczór, a Charlie obiecał, że przyjedzie po mnie wcześniej i razem wybierzemy się do państwa Hughes.

Ku mojej ogromnej radości, zjawił się u mnie całą godzinę przed tym, jak mieliśmy pojawić się u Ruperta. „Po drodze chciałbym zabrać cię do mojego domu w górach”, wyjaśnił. „Mam ku temu bardzo ważny powód”.

Dopiero kiedy dojechaliśmy do domku Charliego, zdałam sobie sprawę, że on nigdy nie miał zamiaru wybrać się na przyjęcie sylwestrowe. W górskim domku ujrzałam stojący przy kominku stół zastawiony, jak zwykle, dla dwóch osób. Na stoliku obok w wiaderku z lodem chłodziła się butelka szampana.

„Charlie! Przecież dziś bardziej niż kiedykolwiek nie możemy rozczarować naszych przyjaciół!”, zawołałam zrozpaczona. „Ależ Polu, dziś bardziej niż kiedykolwiek musimy być sami!” Usłyszawszy ton Charliego, spojrzałam w jego twarz. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak poważnego i przejętego. Nigdy wcześniej nie poczułam tak wyraźnie, jak bardzo on mnie potrzebuje. „Polu, pragnę poślubić cię jak najszybciej”, wyszeptał. „Nie pragnę niczego bardziej, niż mieć z tobą dziecko. Czy wyobrażasz sobie, jak cudowne byłoby nasze małżeństwo?” W jego oczach zaszklily się łzy. „Zadbam, aby nasz mały synek miał wszystko, czego brakowało mi w dzieciństwie. Dopilnuję, aby był

zdrowy i zawsze szczęśliwy, bez cienia nędzy, której ja zaznałem za młodu”.

Podeszłam do niego i przytuliłam jego głowę do mego ramienia. „Polu, ukochana”, wyszłochał Charlie, biorąc mnie w ramiona. „Jesteś jedyną kobietą, która może spełnić moje marzenia. Tak bardzo cię kocham! Wielbię cię bardziej niż cokolwiek na świecie!”

*

Od 20 maja do 20 czerwca 2021 r. trwa Festiwal Poli Negri organizowany przez Austin Polish Society. Więcej informacji na stronie Austin Polish Film Festival:

<https://www.austinpolfilm.com/>

Zobacz też:

Teksaskie opowieści. Pola Negri.

Festiwal Poli Negri w Austin

„Bestia” i inne... O Festiwalu Filmowym Poli Negri w Austin.